ABYŚ MOGŁA OPOWIEDZIEĆ

FAJGA BURMAN
SIMON WAJCER

Odkrywamy Bliskie Historie
STOWARZYSZENIE
ODKRYWAMY BLISKIE HISTORIE

ABYŚ MOGŁA OPOWIEDZIEĆ

FAJGA BURMAN
SIMON WAJCER

MAZOWSZE LOKALNIE

Odkrywamy
Bliskie Historie

Tytuł oryginału: So You Can Tell. Prisoner 48378 Auschwitz
Copyright © 2003 Faiga Burman, Simon Wajcer

Published in 2004 by WhiteSir Press, Montreal, Quebec, Canada
www.whitesirpress.com
simonwajcer@videotron.ca

Copyright © for Polish Edition 2020 by Odkrywamy Bliskie Historie
bliskiehistorie@gmail.com

Żadna część tej publikacji nie może być powielana lub przekazywana w jakiejkolwiek formie i w jakikolwiek sposób, elektronicznie, mechanicznie, poprzez kopiowanie, nagrywanie itp. bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy.

Tłumaczenie:

Izabela Kosmala-Świerczyńska
Julia Szymańska
Dominika Urban
Ewa Wiatr
Aleksandra Zenowicz

Redakcja:

Wiktoria Kolinko
Aleksandra Pytel
Patrycja Wieleba
Gabriela Zych

Projekt okładki,
skład i łamanie tekstu,
konwersja na e-book:

Joanna Dzięciołowska
hadwao-art.eu

Kierowniczka projektu

Agnieszka Szurek

Projekt dofinansowany ze środków Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich oraz środków Samorządu Województwa Mazowieckiego w ramach programu „Mazowsze Lokalnie" realizowanego przez Stowarzyszenie Europa i My, Stowarzyszenie BORIS, Stowarzyszenie SOKIAL oraz Fundację Fundusz Współpracy.

WSTĘP

WIĘŹNIARKA AUSCHWITZ NUMER 48378

ODzakończenia Holocaustu minęło ponad pięćdziesiąt lat. Przez ten czas nie było dnia, w którym nie dręczyłyby mnie niechciane wspomnienia i powracające koszmary, które powodowały depresję i poczucie winy.

…mam siedemnaście lat. Razem z moją siostrą i jej siedmioletnią córeczką, a moją siostrzenicą Felunią, tłoczymy się przy torach kolejowych na Majdanku. Ledwo udaje nam wyczołgać się z cuchnącego wagonu do transportowania bydła, który przywiózł nas tutaj z Umschlagplatzu. Siostra odpycha mnie z płaczem, błagając abym zostawiła je i ustawiła się w ostatniej pracowniczej jednostce utworzonej z naszego transportu. Żebym żyła, kiedy one umrą. Mówi przez łzy: „Rób wszystko, co możesz, żeby przeżyć, abyś mogła opowiedzieć”…

Przeżyłam w piekle. Jestem świadkiem jego istnienia. Jednak są ludzie, którzy dzisiaj zaprzeczają, że te okropności kiedykolwiek się zdarzyły. Nastały czasy, gdy młodzi nie chcą wierzyć, że jakiekolwiek istoty ludzkie byłyby zdolne skazać innych ludzi na takie cierpienie.

Walczyłam o odwagę i siłę, żeby móc przywołać wspomnienia tego terroru i grozy, aby utrwalić je na piśmie.

Moje świadectwo to tylko jedna historia. Sześć milionów innych nigdy nie zostanie opowiedzianych. Historie mojej rodziny, sąsiadów, przyjaciół i ludzi, których imion nigdy nie poznałam, muszą być zapamiętane przez moje dzieci, wnuki i przyszłe pokolenia.

To świadectwo dedykowane jest pamięci mojej siostry, Chany, jako wypełnienie danego jej przyrzeczenia – aby opowiedzieć o tym, co spotkało Żydów, każdemu, kto zechce słuchać.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ŚWIAT O ZMIERZCHU
1 MARCA 1926 – 1 WRZEŚNIA 1939

Menasze, mój starszy brat, umierał w konwulsjach, wciąż wymiotując. Matka i ojciec patrzyli z bezsilnością na śmierć swojego dziecka. Menasze otruł się po zjedzeniu jakiejś niewiadomej substancji. Miał tylko osiemnaście miesięcy. Jego śmierć była ogromną stratą dla rodziny. Ojciec nie mógł pogodzić się z utratą radosnego dziecka, które w tak młodym wieku umiało już tańczyć i ujawniało wiele talentów. Zaczął mieć myśli samobójcze.

Ja pojawiłam się, żeby zastąpić brata. Miałam pocieszyć rodzinę i uzdrowić ojca.

Urodziłam się 1 marca 1926 roku w Grodzisku Mazowieckim, małym polskim mieście, w którym mieszkała moja rodzina. Rodzice byli już sporo po trzydziestce, kiedy przyszłam na świat, jako siódme i ostatnie dziecko mojej mamy. Byłyśmy nierozłączne – gdziekolwiek szła ona, szłam też ja. Nie mogłabym znieść przebywania z dala od niej, była centrum mojego życia. Cokolwiek robiła, zawsze byłam obok, obserwowałam i słuchałam. Jej historie nigdy mnie nie nudziły. Rosłam zanurzona w jej miłości i mądrości – słowa i czyny matki obecne są w moim życiu do dziś. Ojciec i cała rodzina nie widzieli świata poza mną.

Przyszłam na świat, nad którym zachodziło już słońce. Świat, który wkrótce miał być tylko dymem unoszącym się z kominów krematorium.

***

Przed II wojną światową moja rodzina mieszkała w Grodzisku Mazowieckim od wielu pokoleń. Nasi przodkowie przybyli do Polski w szesnastym wieku, uciekając przed prześladowaniami w Europie – trzysta pięćdziesiąt lat po ogłoszeniu przez króla Bolesława Statutu Kaliskiego, gwarantującego ochronę Żydom. Zgodnie z ustną tradycją naszej rodziny, przybyliśmy z Niemiec, gdzie schroniliśmy

się przed represjami hiszpańskiej inkwizycji. Z trzydziestu tysięcy mieszkańców Grodziska Mazowieckiego, cztery stanowili Żydzi. Dumni z naszego miasta, byliśmy zapalonymi polskimi patriotami.

Grodzisk Mazowiecki, zwany po prostu Grodziskiem, był małym, gwarnym miastem, położonym dwadzieścia siedem kilometrów na południowy zachód od Warszawy i około siedemdziesięciu kilometrów na północny wschód od Łodzi. Posiadał udogodnienia charakterystyczne dla znacznie większego miasta, a dodatkowo – pociąg podmiejski do Warszawy. Dzięki temu stanowił centrum dla okolicznych małych miasteczek i wiosek, położonych w malowniczym, sielankowym krajobrazie, gdzieniegdzie naznaczonym willami. To był nasz dom.

***

Moja matka, Chawa Domb, dziecko Sary Feigenblatt i jej męża Dawida Domba, urodziła się w roku 1887 w Rawie. Wkrótce potem jej rodzice przeprowadzili się do Grodziska, siedemdziesiąt dwa kilometry dalej. Kiedy mama miała rok, jej ojciec został zabity przez wartownika, gdy wracał z patrolu. Okoliczności tej przypadkowej śmierci nigdy nie wyjaśniono, a babcia Sara nie otrzymała renty ani żadnej innej rekompensaty za stratę męża. Została wdową bez grosza, a matkę czekało ciężkie życie półsieroty. Całe życie tęskniła za ojcem, którego nigdy nie znała.

Babcia Sara wyszła ponownie za mąż. Menasze Szlak, którego poślubiła, zajmował się studiowaniem Talmudu. Jego profesja zapewniła Sarze życie obfitujące w ciąże oraz ubóstwo.

Urodziła sześcioro dzieci – w 1892 roku bliźniaki, które wkrótce potem zmarły, rok później syna, Majlecha, a następnie trzy córki: Szyfrę w 1896, Rajzlę w 1904 i Rachel Leę w 1906.

Żeby zmniejszyć wzrastającą biedę Sary, moją mamę, Chawę, wychowywała babcia od strony taty – Chaja, która zapewniła jej wyżywienie i posłała do szkoły. Kiedy Chawa

miała dwanaście lat, zatrudniła się w handlu pończochami. Jej skromne zarobki dawały chleb matce i przyrodniemu rodzeństwu. Mogła też zapłacić za własną żydowską edukację. Pomimo ubóstwa, nauczyła się czytać i pisać.

Chawa wyrosła na uderzająco piękną, młodą kobietę. Miała kruczoczarne włosy, błyszczące, ciemne oczy i idealnie białe zęby. Przyciągała wzrok wszystkich. Nigdy nie nudziła mi się opowieść o tym, jak matka z ojcem poznali się w żydowskiej wspólnocie, i jak się zakochali. Jej księciem z bajki był Mordechaj Burman – słodki, cichy, dobrze wykształcony, przystojny młody mężczyzna z zamożnej rodziny. Niesamowicie uczciwy i tak szczery, że nie potrafiłby skłamać; wszyscy oczarowani byli jego blond włosami i zawsze obecnym uśmiechem, który sprawiał, że jego zielone oczy migotały. Nazywano go pieszczotliwie Motta. Oboje z Chawą mieli po kilkanaście lat, kiedy się poznali, oboje też pracowali w wyrobach pończoszniczych. Rodzice Mordechaja, Fajga Brandstein i Mosze Burman, byli dobrze prosperującymi producentami mundurów dla armii. Nie zachwycił ich wybór syna – biedna dziewczyna bez ojca i posagu. Zabronili mu ją poślubić.

W wieku dziewiętnastu lat, Chawa i Mordechaj uciekli. Pobrali się w Rawie, u rodziny Chawy, potem wrócili do Grodziska. Matka Mordechaja nie zaakceptowała synowej, nie chciała nawet z nią rozmawiać. Krótko potem, Chawa urodziła pierwsze dziecko. Nazwała je Dawid – po swoim zmarłym ojcu. Synek nie pożył jednak długo i mama była bardzo przybita jego stratą. Zawzięci dziadkowie nie zdążyli go nawet zobaczyć. Mordechaj był urażony niechęcią rodziców do swojej młodej żony, ale Chawa nie chciała pozwolić na żaden rozłam między nimi. Mówiła: „To twoi rodzice. Chcą dla ciebie jak najlepiej, jak każdy rodzic dla swojego dziecka” – i zawsze namawiała, żeby ich odwiedzał. Mimo braku akceptacji z ich strony, nie żywiła urazy.

Kiedy Mordechaj miał dwadzieścia jeden lat, został wcielony do rosyjskiej armii. Dzięki jego muzycznym zdolnościom, przydzielono go do gry na bębnie w orkiestrze, stacjonującej w kurorcie nad Morzem Czarnym, w Odessie. Szczęśliwie się złożyło, że kuzynka Chawy od strony matki, Surka Kanterowicz, prowadziła w tym mieście restaurację. Zaprosiła Chawę do swojego mieszkania, żeby ta mogła być blisko męża. Gra w orkiestrze oznaczała, że Mordechaj prawie każdy wieczór miał wolny. Chawa bardzo szybko znów zaszła w ciążę.

W roku 1910 urodziła drugiego syna, i żeby upewnić się, że przeżyje, nazwała go Chaim, co po hebrajsku oznacza „życie". Po jego urodzeniu, moi rodzice wrócili do Grodziska. Ale ojciec Mordechaja już nie żył, a matka była chora. Dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nigdy nie zobaczyła swojego wnuka Dawida. Wiedziała, że popełniła wielki błąd i teraz chciała być blisko syna. Poprosiła Mordechaja, żeby przywiózł do niej żonę. Tak uczynił, a kiedy ją zobaczyła, poprosiła o wybaczenie. Otrzymała je. Przez następne parę lat, aż do jej śmierci, byli w bardzo bliskich relacjach. Babcia zapisała mamie całą swoją biżuterię.

Mama zawsze opowiadała mi tę historię w piątkowe wieczory, kiedy starsze dzieci wychodziły i w domu było cicho. Zostawała tylko Bobe (tak nazywaliśmy babcię Sarę) i ja. Historia mamy rozdzierała mi serce. Nie mogłam sobie wyobrazić, że ktokolwiek mógłby jej nie lubić. Współczułam jej też, że nigdy nie znała ojca. W soboty szłyśmy razem do jego brata. Był to pobożny, bardzo wysoki, przystojny i brodaty mężczyzna. Mówiłam mamie:

– Twój tata musiał wyglądać podobnie.

– Tak, wszyscy tak mówią – odpowiadała.

Matka wyczuwała, że jest mi przykro słuchać o jej odrzuceniu przez dziadków, i wyjaśniała bez goryczy, że ojciec był ich oczkiem w głowie – ukochanym dzieckiem i jedynym

z sześciorga, które zostało z rodzicami, podczas gdy reszta wyjechała. Mieszkali w innych miastach, a jeden syn wyemigrował do Brazylii. Część rodziny mamy również rozproszyła się po świecie, ale jej trzy przyrodnie siostry, Szyfra, Rajzla i Rachel Lea, pozostały w Grodzisku.

***

Rodzina Chawy i Mordechaja powiększała się. W 1914 roku mama urodziła moją siostrę Chanę. Mój brat Szlojme pojawił się w 1916. Rodzice dawali sobie radę produkując pończochy w zimie i zajmując się ogrodnictwem latem.

Niekończące się rewolucje w Rosji wkrótce przyniosły kłopoty. Mieszkający tam przyrodni brat mojej mamy, Majlech Szlak, zginął podczas zamieszek. Nic nie było wiadomo o losie jego żony i dziecka, podejrzewano, że także nie żyją. Później okazało się, że jednak przeżyli, lecz wdowa po Majlechu nie chciała wracać do Polski i pozostała w Rosji. Matka zawsze żałowała śmierci jedynego brata.

Podczas I wojny światowej ojciec został ponownie wezwany do wojska i musiał zostawić Chawę samą z trójką dzieci. Dostał się do niewoli niemieckiej i resztę wojny spędził pracując w kuchni w Niemczech, tam też nauczył się bezbłędnie mówić po niemiecku.

Wkrótce po zawieszeniu broni 11 listopada 1918 roku, ojciec wrócił do Grodziska. Często potem opowiadał o swoich więziennych doświadczeniach i bardzo chwalił Niemców. O Rosjanach mówił jedynie, że byli „brutalami".

Mama miała ciężko, kiedy ojca nie było. Z trudem udawało jej się nakarmić dzieci. Jednak teraz, po jego powrocie, życie wróciło do normalności, a rodzina znowu zaczęła się powiększać. Mój brat Mojsze, zwany przez wszystkich Tusza, urodził się w 1922 roku. W 1923 urodził się Menasze. Był cudownym dzieckiem. Jego taniec i śmiech sprawiały rodzinie mnóstwo radości. Szczególnie ojciec oczarowany był wielością talentów ujawniających się tak wcześnie.

Kiedy Menasze miał półtora roku, zjadł jakąś nieznaną substancję, która go zabiła. Umarł w ramionach rodziców. Strata dziecka była nie do zniesienia, w szczególności dla ojca. Jego żałoba przekształciła się w depresję, zaczął mieć myśli samobójcze. Ja przyszłam na świat, żeby zastąpić Menasze. Miałam pocieszyć rodzinę i uzdrowić ojca.

Urodziłam się w marcu 1926 roku jako Fajga Chaja. Fajga, żeby upamiętnić babcię od strony taty, i Chaja – żeńska forma hebrajskiego słowa „życie" – aby zagwarantować, że nie umrę.

***

Fundamentem naszej rodziny była miłość rodziców. Bardzo dobrze się rozumieli i tworzyli udane małżeństwo. My, ich dzieci, dorastaliśmy w atmosferze tej miłości. Mama odpowiadała za dyscyplinę. Zawsze miała na nas oko, uczyła nas, jak myśleć i postępować właściwie. Ojciec nigdy nie znajdował w nas nic, co wymagałoby większej kary niż kilka łagodnych słów i uśmiech.

Bardzo kochaliśmy rodziców. Nie byliśmy bogaci, ale biedni też nie. „Biedni" w przedwojennej Polsce oznaczało stan, w którym nie ma się czego włożyć do garnka. Wielki kryzys z 1929 roku dotknął większość krajów – w Polsce głód i ubóstwo były bardzo powszechne. My jednak nigdy nie głodowaliśmy, nie brakowało nam też ubrań. Mieszkaliśmy przy ulicy 11 Listopada 19/21, w drewnianym domu, który ojciec odziedziczył po rodzicach. Wiedliśmy szczęśliwe i wygodne życie.

Ojciec miał dar do języków. Oprócz jidysz znał hebrajski, niemiecki i rosyjski, mówił też bezbłędnie po polsku, co było rzadkością u Żydów w małych sztetlach. Matka nie znała polskiego ani rosyjskiego tak dobrze, jak jidysz, i często śmiałam się, słysząc jej akcent. Wtedy złościła się i mówiła: „Właśnie dlatego posłaliśmy cię do szkoły – żebyś umiała poprawnie mówić po polsku".

Rodzice praktykowali liberalny judaizm. To Bobe była tą, która pilnowała obchodów Wielkich Świąt i koszerności. Zamieszkała z nami, kiedy byłam mała. Zawsze pilnowała, żeby nie mieszać naczyń i przyborów kuchennych, oraz żeby szabasowe świece były zapalone. W to święto odpoczywaliśmy. Ojciec odziedziczył miejsce w synagodze, chodził tam w Wielkie Święta i czasami na nabożeństwa szabasowe.

Nasz dom zawsze był otwarty dla gości, którzy często przychodzili. Mama uczyła nas, że najważniejszy jest szacunek. Mówiła mi: „Kiedy widzisz kogoś na ulicy, zawsze mów «dzień dobry». Jeśli będziesz witać się z ludźmi, będą życzyć ci dobrego roku". Mama często słyszała od innych: „Jakie miłe masz dziecko, zawsze mówi «dzień dobry»".

***

Mój brat Chaim, szesnaście lat starszy ode mnie, miał szerokie ramiona i szczupłe ciało. Jego zadbane brązowe włosy, wysokie kości policzkowe, gładka skóra i oczy o intrygującym odcieniu roztaczały aurę autorytetu. Pamiętam, że jako dziecko zawsze starałam się dotknąć palcem jego grdyki, która drżała. Chaim ubierał się bardzo elegancko. Nosił najnowszą modę z Paryża; ubrania szył sam, kopiując fasony z paryskich czasopism. Był skrupulatny i dokładny we wszystkim, co robił. Skończył cheder i pięć lat publicznej szkoły, gdzie nauczył się polskiego. Jako nastolatek postanowił zostać krawcem, aby szyć ubrania dla ojca i reszty rodziny. Zatrudnił się u najlepszego krawca w Grodzisku, aby się uczyć. Jak we wszystkim, co robił, miał talent do szycia. Po zakończeniu praktyki otrzymał dużo ofert, w tym jedną propozycję pracy jako projektant w Paryżu. Pomimo tych możliwości, wrócił do domu, by pracować dla ojca. Był jego prawą ręką. Razem prowadzili zakład pończoszniczy.

Kiedy Chaim miał osiemnaście lat, zaręczył się z bardzo atrakcyjną brunetką, w której był zakochany. Ona jednak kochała innego, który odbywał w tym czasie służbę wojskową, i kiedy tylko wrócił, zerwała zaręczyny. To złamało

Chaimowi serce. Spotykał się potem z różnymi dziewczynami, ale nie czynił propozycji małżeństwa z powodu bólu po pierwszym odrzuceniu. Nie miał też wielu przyjaciół – wolał towarzystwo rodziny.

Jako pierwsze „zastępcze" dziecko, Chaim zajmował szczególne miejsce w sercu matki i sam też ją uwielbiał. Mama nie mogła znieść widoku jego cierpienia po rozstaniu. Celem jej życia stało się doprowadzenie go do małżeństwa. Ale Chaima nie interesował już ożenek. Wiedział, że ojciec bardzo na nim polega i chciał dalej pracować dla rodziny. Matka jednak była uparta i nieustannie szukała mu „dobrej partii".

Chaim zwracał szczególną uwagę na moją naukę. Kiedy wracałam ze szkoły później, zawsze pytał, gdzie byłam. To on, a nie ojciec, przywoływał mnie do porządku. Był ode mnie o tyle starszy, że przyjaciele często mylili go z moim ojcem. Wtedy wpadałam w złość i mówiłam dobitnie: „to nie mój tata, tylko brat!" A potem wskazywałam na Mordechaja, z jego zdezorientowanym uśmiechem i błyszczącymi oczami i obwieszczałam: „To jest mój ojciec!".

Czasami złościłam się, że Chaim traktuje mnie zbyt surowo i nie pozwala iść się bawić. Mówił: „Musisz pomóc mamie i Bobe", co wtedy wydawało mi się straszną karą.

Pewnego razu, kiedy miałam osiem lat, poprosiłam o kanapkę z serem i zamiast tego dostałam kawałek chleba z gęsim smalcem i skwarkami. Ze złością rzuciłam go na ziemię i zbiegłam po schodach na dół. Chaim pobiegł za mną. Uciekając przez bramę, przytrzasnęłam sobie palec. Skaleczenie obficie krwawiło. Chaim zobaczył krew i ogarnęły go wyrzuty sumienia. Oczyścił i zabandażował ranę, a potem dał mi chleb z serem, o który prosiłam.

Innym razem zamiast wrócić do domu do moich obowiązków, zdecydowałam, że pójdę się bawić z przyjaciółmi. Chaim szukał mnie, a kiedy zobaczyłam, że nadchodzi, udałam ból głowy. Wziął mnie na ręce i zaniósł do domu,

położył do łóżka i poszedł do apteki po lekarstwo. Nie miałam już wyjścia, musiałam je wziąć. Przez to wszystko tak bardzo się pociłam, że wszyscy myśleli, że mam gorączkę. Nigdy już nie powtórzyłam podobnego wyczynu.

Chaim może i był surowy, ale wiedziałam, że mnie kocha.

***

Moja siostra Chana, ciemnowłosa i ciemnooka piękność, umiała tańczyć z niewymuszonym wdziękiem. Kiedy to robiła, patrzyli na nią wszyscy. Gdy skończyła szesnaście lat, zaczęła pracować dla ojca. Ilekroć miała okazję, wyjeżdżała w odwiedziny do kuzynów w Warszawie. Lubiła duże miasto i chciała, żebyśmy się tam przeprowadzili. Spędzała w Warszawie tyle czasu, że jako dziecko nie wiedziałam, że jest moją siostrą. Ale zawsze, kiedy z matką jechałyśmy ją odwiedzić, brała mnie na kolana, całowała, czesała mi włosy, dawała czekoladę, pieniądze i inne prezenty. Podobało mi się to. A ilekroć przyjeżdżała z Warszawy, żeby przedstawić rodzicom jakiegoś chłopaka, był on nauczony, żeby przywieźć mi czekoladki.

Gdy miałam siedem lat i zrozumiałam, że moja siostra zamierza wyjść za mąż, chętnie wydawałam opinie o jej zalotnikach. „Tego nie lubię, bo nosi okulary" – mówiłam na przykład. „A tego – ponieważ jest gruby". Lubiłam naśmiewać się z jej chłopaków.

***

Mój brat Szlojme urodził się w 1916 roku. Byłam jego małym aniołeczkiem. Często podrzucał mnie w górę, całował i dawał mi wszystko, czego chciałam.

Szlojme miał mocną budowę, ciemne włosy i oczy. Był silny, przystojny, bardzo towarzyski i zawsze roześmiany. Interesowały go dziewczyny, sport i ubrania (zawsze chciał ubierać się dokładnie tak, jak Chaim). Nauka mu nie szła. Uczęszczał do publicznej szkoły nie dłużej niż cztery czy

pięć lat i zawsze ledwo zdawał do następnej klasy. Musiał również skończyć cheder. Każdego dnia mama biegła zobaczyć, czy tam jest – i bardzo często go nie było. Znajdował się gdzie indziej, grając w piłkę albo włócząc się z przyjaciółmi i wpadając w kłopoty.

Polacy w większości nie lubili Żydów, ale Szlojme był wyjątkiem. Miał wielu polskich przyjaciół, mimo że nie mówił najlepiej w tym języku. Był jednak tak przystojny i sympatyczny, że każdy lubił z nim przebywać. Polacy i Żydzi otaczali go ze wszystkich stron. Matce to się oczywiście nie podobało. Nie lubiła tych chłopców i nazywała ich „chuliganami".

Pewnego wieczoru wracałyśmy z mamą z dworca i jeden z miejscowych pijaków zatoczył się w naszą stronę. Mama przyciągnęła mnie bliżej siebie. Kiedy podszedł bliżej, rozpoznałyśmy go – to był owiany złą sławą Wojtek, którego wszyscy się obawiali, ze względu na pijackie napady. Nieraz zdarzyło się, że w bójce dźgnął kogoś nożem. Zobaczył nas, zatrzymał się gwałtownie i przesunął na bok, żeby dać nam przejść. Szarmancko zdejmując czapkę, powiedział:

– Dobry wieczór, matko Szlojmego.

Poszłyśmy dalej, matka skinęła mu głową, a po paru krokach usłyszałam, jak mówi do siebie: – Tylko tego mi do szczęścia brakowało.

Problemy z przyjaciółmi Szlojmego niepokoiły mamę. Starała się kontrolować, z kim zadaje się jej syn, jednak bezskutecznie. Zawsze robiła mu wyrzuty tym samym pytaniem: „Czemu nie możesz być bardziej podobny do Chaima?" Jednak ojciec zawsze go bronił. Nie umiał karcić swoich dzieci, a Szlojmego w szczególności. Zdenerwowana matka pytała:

– Jakim ojcem jesteś, skoro nie potrafisz nigdy podnieść ręki na dzieci?

Odpowiadał z uśmiechem:

– Najgorsze z moich dzieci jest lepsze, niż najlepsze u kogo innego.

Szlojme nauczył się handlu pończochami, gdy był jeszcze bardzo młody. On też pracował dla ojca i często prosił go o więcej pieniędzy. Potrzebował ich, ponieważ w weekendy wyjeżdżał do Warszawy, żeby spotykać się z dziewczynami. Najczęściej nie stawiał się w pracy w niedzielę rano, a do domu wracał dzień później. Mama martwiła się, że za bardzo lubi dziewczyny. Był Casanovą naszej rodziny.

W końcu matka zmusiła Szlojmego, żeby zaręczył się z dziewczyną, którą lubiła. Jego samego jednak nie bardzo obchodziła i kiedy mówił, że jedzie się z nią zobaczyć, tak naprawdę spotykał inne dziewczyny. Matka dowiadywała się o tym i zabraniała mu jechać do Warszawy w następny weekend. Jednak on zawsze znajdował dobrą wymówkę, żeby ją przekonać i obiecywał, że tym razem zobaczy się z narzeczoną, którą mu wybrała. Oczywiście nigdy tego nie robił, ale uchodziło mu to na sucho. Uchodziło mu zresztą wszystko – każdy bardzo go lubił.

Czasami przyprowadzał przyjaciół do domu – wtedy zjadali wszystkie upieczone przez Bobe ciasteczka, i wypijali alkohol, którym mama konserwowała wiśnie. Szlojme dla niepoznaki nalewał do nich wody, ale mama zawsze go przyłapywała, zdradzał go pachnący alkoholem oddech. Jego najczęstszymi kompanami byli Ajzyk Florenstein, którego rodzina sprzedawała fortepiany, i chłopiec od Pletmanów.

Szlojme miał pociąg do rzeczy zakazanych. Z upodobaniem jadł kanapki z wieprzową szynką, które kupował w sklepie Sznajderów za dwadzieścia groszy. Matka raz przyłapała go, kiedy stamtąd wychodził. Oczywiście zaprzeczył, że cokolwiek jadł i jak zawsze uszło mu to płazem.

Matka miała z nim same problemy, jednak dla mnie zawsze był starszym bratem, który pytał, jak było w szkole.

– Było dobrze – odpowiadałam i chwaliłam się osiągnięciami. Pokazywałam mu też swoje świadectwo, żeby zobaczył, jaka jestem mądra. Kupował mi wtedy największą kulkę lodów, jaka mieściła się w wafelku.

Tusza, najmłodszy z moich trzech braci, miał wiele talentów. Był urodzonym czarusiem z kręconymi, jasnobrązowymi włosami i pomarańczowo nakrapianymi zielonymi oczami, a na jego twarzy zawsze gościł uśmiech, który ukazywał szparę między przednimi zębami. Był najsłodszy spośród moich braci. Tak naprawdę miał na imię Mojsze, otrzymał je po moim dziadku ze strony ojca, ale wszyscy znali go jako Tuszę. Matka opowiadała, że to ja nadałam mu to przezwisko, bo jako dziecko nie potrafiłam wymówić „Mojsze". Był oczkiem w głowie ojca. Zawsze żałowałam, że nie mam jego talentu do rysowania, śpiewania i tworzenia przedmiotów. Kiedy był bardzo małym chłopcem, własnoręcznie wykonał z drewna łyżwy i nauczył się grać na harmonijce. Był ode mnie starszy tylko o cztery lata.

Tusza, jak jego starszy brat Szlojme, miał problemy w szkole, ale w przeciwieństwie do Szlojmego, miał znakomite oceny. Tak jak Szlojme, był urodzonym liderem. Niezależnie od tego, co robił, wszyscy chłopcy podążali za nim. Nawet polscy chłopcy chcieli się z nim zaprzyjaźnić. Tusza fascynował się piłką nożną. Pewnego dnia założył nową parę butów, którą niedawno kupiła mu matka, i zorganizował mecz przeciwko polskim chłopcom na obrzeżach miasta. W trakcie meczu ktoś ukradł jego buty. Tusza musiał więc wrócić do domu boso.

W końcu musiał opowiedzieć matce, co stało się z jego nowymi butami. Ku mojemu zaskoczeniu, matka nie nakrzyczała na niego ani go nie ukarała. Była po prostu zadowolona, że chuligani go nie pobili, a jedynie ukradli jego buty. Powiedziała: „To nieistotne, po prostu następnym razem ich nie strać". Moi rodzice uwielbiali Tuszę. W żaden sposób nie był w stanie im podpaść.

Dyrektor regularnie wzywał matkę i mówił, że prowadzenie szkoły staje się niemożliwe, kiedy jest w niej Tusza. Tak więc matka lub sam dyrektor zdecydowali, że Tuszy wystarczy sześć lat edukacji.

Po tym, jak jego kariera uczniowska została przerwana, Tusza zaczął pracować jako krawiec. Był tak uzdolniony, że co tydzień prosił o podwyżkę i ją otrzymywał. Kiedy miał wolne, pracował dla ojca. Robił wszystko tak dobrze, że ojciec zawsze go prosił: „Zrób za mnie to, zrób za mnie tamto".

Tusza miał bzika na punkcie filmów. Postanowił, że kupi projektor filmowy, który kosztował czterdzieści złotych, co na tamte czasy było znaczną sumą. Poprosił ojca, żeby zatrzymał jego wypłatę u siebie, bo gdyby mu ją dał, Tusza wydałby ją od razu. Ojciec miał kupić projektor, a gdy tego nie zrobił, Tusza był bardzo smutny i w ostentacyjny sposób okazywał swoje przygnębienie.

Oczywiście, w następnym tygodniu Tusza dostał swój projektor filmowy i kolekcję filmów. Powiesił w szopie białe prześcieradło i zaczął wyświetlać taśmy z Chaplinem, Laurelem, Hardym i innymi komikami. Dzieci musiały płacić mu dziesięć groszy za wstęp. W wieku czternastu lat Tusza stał się potentatem filmowym.

Zdarzało mi się przekupywać Tuszę, żeby rysował za mnie, dzięki czemu miałam najlepsze prace w całej szkole. Podpisywałam się pod jego pracami. Najlepszym artystą w mojej klasie był Moniek Szajnfeld. Jego ojciec był znanym, lokalnym artystą. Moniek narzekał wtedy: „To nie twój rysunek, narysował go twój brat".

Tusza zawsze mi dokuczał. Za każdym razem, gdy słyszał matkę wspominającą o tym, jak jestem urocza, mówił:

– Nie jest urocza, wygląda jak małpa.

A potem wyrzucał z siebie wszystkie gatunki małp:

– Szympans, goryl, orangutan, pawian…

Byłam chudym dzieckiem i miałam długą szyję, przez co Tusza mówił:

– Jakim cudem miałaby być piękna, przecież ma długą szyję jak żyrafa!

Biegłam wtedy do lustra i odkrywałam, że to prawda. Ale byłam do niego bardzo przywiązana i zawsze chciałam być w pobliżu niego i jego przyjaciół, nawet po to, żeby oglądać, jak gra w piłkę nożną. Jego przyjaciele zabierali mnie ze sobą.

Zawsze, kiedy widziałam, jak Tusza kupuje dziewczynom lody, robiłam się zazdrosna i prosiłam go, żeby mi też kupił loda. Nie mógł odmówić mi przy dziewczynach, dlatego kupował mi rożek za pięć groszy. Mówiłam wtedy:

– Dlaczego kupujesz dla niej loda za dziesięć groszy, a dla mnie za pięć? Przecież jestem twoją siostrą.

Wtedy kupował mi większy rożek, żebym się w końcu odczepiła.

W 1931 roku, kiedy miałam pięć lat, straciliśmy dom, w którym do tej pory mieszkaliśmy. Należał do rodziców ojca i z powodu sporu związanego ze spadkiem musieliśmy go oddać Joselowi Burmanowi, jednemu ze stryjów ojca. Opuszczenie domu i przeniesienie się w inne miejsce w Grodzisku, było dla nas bardzo trudne pod względem emocjonalnym.

Pragnienie Chany, by przeprowadzić się do Warszawy, było teraz brane pod uwagę. Matka tłumaczyła, że dzięki trojgu pracujących dzieci i dodatkowym oszczędnościom wynikającym z tego, że nie musielibyśmy wozić naszych wyrobów do Warszawy dwa razy w tygodniu, bylibyśmy w stanie udźwignąć wyższy czynsz. A może nawet wyszlibyśmy na tym lepiej. Chana w końcu przekonała rodziców do przeprowadzenia się do Warszawy. Starsze dzieci cieszyły się z przeprowadzki do dużego miasta, ale ja byłam zrozpaczona. Musiałam opuścić moje kuzynostwo, moich

przyjaciół, moje przedszkole i moją ukochaną nauczycielkę Rachelę. Matka miała jeden duży problem: Bobe, która mieszkała z nami, odkąd umarł jej mąż, Menasze Szlak, odmówiła przeniesienia się do Warszawy. Bobe wprowadziła się z powrotem do mieszkania, które oddała Rajzli i jej mężowi, Lejzorowi. Ulubiona siostra matki zmarła na gruźlicę, kiedy miała dziewiętnaście lat. A inna siostra matki, Szyfra wyszła za mąż i wyjechała do Belgii. Tylko matka i Rajzla zostały w Grodzisku.

Rajzla, siostra mojej matki, krzepka i atrakcyjna dziewczyna, poślubiła chudego, płomiennowłosego Lejzora „Rudego" Srebrnika, który pracował jako woźnica dla Meira Domba, wuja Rajzli i matki. Matka nie akceptowała Lejzora, który wcześniej był w związku małżeńskim przez dziesięć lat, ale zostawił swoją bezpłodną żonę, by móc ożenić się z Rajzlą. Małżeństwo Rajzli i Lejzora było burzliwe. Był od niej starszy o osiem lat i miał skłonność do wpadania w niepohamowaną wściekłość. Wtedy bił Rajzlę. Pierwsze dziecko Rajzli, dziewczynka o imieniu Ita, urodziła się w tym samym roku, co ja. Ita była moją jedyną kuzynką z rodziny od strony matki.

Wprowadziliśmy się do mieszkania usytuowanego na trzecim piętrze, w kamienicy bez windy. Kamienica znajdowała się na ulicy Muranowskiej 18. Szybko zaczęłam nienawidzić życia w Warszawie. Byłam pięcioletnią dziewczynką, która mogła jedynie siedzieć na parapecie i wyglądać przez okno, ponieważ nie pozwalano mi wychodzić samej na zewnątrz. Tęskniłam za moim podwórkiem w Grodzisku, na którym budowałam zamki z piasku. Matce również nie podobało się mieszkanie w Warszawie. Przyzwyczaiła się do tego, że mogła zostawiać otwarte drzwi i gościć swoich sąsiadów, którzy przychodzili niezapowiedzianie. W Warszawie wszystkie drzwi były zamknięte, nikogo nie wpuszczało się do środka. Tęskniła za bliskością matki, która została w Grodzisku i za mieszkaniem obok rodziny, przyjaciół i sąsiadów.

Kiedy siedziałam na parapecie w naszym mieszkaniu na trzecim piętrze, mogłam oglądać tramwaje przejeżdżające po ulicy znajdującej się poniżej lub zaglądać w okna sąsiadów. Jedna mieszkająca obok nas rodzina utrzymywała się ze sprzedaży jedzenia z wózka na targu. Podczas gdy rodzice zajmowali się wózkiem, ich dwie córki spędzały cały dzień w kuchni, aby przygotować sznycle i inne potrawy. Miałam bardzo dobry widok na ich kuchnię i godzinami przyglądałam się pracy dwóch dziewczyn. Szlojme zaprzyjaźnił się z dwoma chłopcami z ich rodziny. Matka słyszała plotki, że ci dwaj są złodziejami; na darmo próbowała powstrzymać Szlojmego przed spędzaniem z nimi czasu. Pewnego dnia dziewczyny usmażyły stos sznycli i zostawiły je przy otwartym oknie, by wystygły. Kiedy dziewczyny były zajęte ciągłym gotowaniem, zauważyłam długi patyk z wbitym na końcu gwoździem. Patyk powoli zniżał się w stronę otwartego okna. Spojrzałam w górę i zauważyłam, że z okna wyżej wychyla się dwóch braci tych dziewczyn i że to oni manewrują patykiem. W ciągu kilku sekund udało im się złapać sznycel na gwóźdź i wciągnąć go na górę. Byłam zdumiona i zachwycona. Dziewczyny nigdy się nie zorientowały.

Matka wkrótce zaczęła tęsknić za swoim sztetlem, Grodziskiem. Czuła się źle z tym, że jej matka, Bobe, mieszkała razem z Rajzlą jej mężem, Lejzorem; matka bała się gwałtowności Lejzora. Raz, kiedy odwiedziłyśmy Bobe, zastałyśmy połamane łóżko i płaczącą Rajzlę. Podczas jednego ze swoich napadów wściekłości Lejzor zniszczył łóżko, próbując znaleźć pieniądze, które rzekomo ukrywała przed nim Bobe. Chana Kanterowicz, jedna z sióstr Bobe zamieszkała w Anglii, wysłała jej niedawno trochę pieniędzy. Tamtego dnia matka zabrała Bobe do Warszawy razem z nami.

Za każdym razem, gdy wracaliśmy do Warszawy, płakałam i modliłam się, byśmy pewnego dnia mogli ponownie zamieszkać w Grodzisku. W 1932 roku moje

modlitwy zostały wysłuchane. Po prawie dwóch latach matka nie była już w stanie żyć dłużej w Warszawie. Zdecydowała, że z powrotem zamieszkamy w Grodzisku. Tam moi rodzice wynajęli ładne, przestronne, trzypokojowe mieszkanie na ulicy Piłsudskiego. Wynajął je im pan Skoblewski. Rzadko kiedy polski gospodarz wynajmował mieszkanie Żydom.

Moja siostra Chana nie chciała opuszczać Warszawy. Zamieszkała z jednym z naszych kuzynów, Izaakiem Szlakiem, i resztą jego rodziny. On również działał w przemyśle pończoszniczym i Chana pracowała dla niego. Ojciec odwiedzał ją dwa razy w tygodniu, podczas swoich regularnych podróży do Warszawy. Matka odwiedzała ją co najmniej raz w tygodniu. Nie mogłam się doczekać, aż ojciec wróci z Warszawy. Zawsze przywoził mi jakieś słodycze, chałwę lub czekoladę, a jeśli na ulicy usłyszał jakąś ładną piosenkę, kupował mi książkę z piosenkami, żebym też mogła je śpiewać.

Powróciwszy do Grodziska, moi rodzice znowu byli blisko swojej rodziny i mogli wrócić do swoich społecznych i politycznych zajęć, które bardzo lubili, zanim wyprowadziliśmy się do Warszawy. Podczas zimy zajmowali się pończosznictwem, a w lecie dzierżawili sady. Po raz kolejny nasz dom wypełnił się krewnymi, którzy odwiedzali nas w szabat i inne wolne dni. Opowiadano historie Szolema Alejchema, a żarty Puszkina wywoływały salwy śmiechu. Moi rodzice mieli wielu polskich przyjaciół, którzy często nas odwiedzali. Byli dobrymi, skromnymi ludźmi. Wśród nich byli pan Serwaciński, bracia Szewczykowie, Wawrzyńczakowie, Fuchsowie i nasz gospodarz, pan Skoblewski.

Pan Skoblewski był wysokim i przystojnym mężczyzną o ciemnych włosach i wyrazistej twarzy. Uwielbiał karpia po żydowsku i chałkę. W piątki, kiedy poczuł aromat piekącej się ryby, pukał do naszych drzwi. Gdy matka odpowiadała na jego pukanie, mówił zawsze:

– Czuję rybę i chałkę. Jaki miły zapach.

A matka zawsze zapraszała go do środka i gościła talerzem karpia po żydowsku i chałki. On i ojciec uwielbiali dyskutować o polityce. Mówiono o nim dobrze, a plotki głosiły, że miał żydowską kochankę.

Pan Skoblewski wytwarzał własne wędliny: kiełbasę, szynkę i inne produkty. Jego żona sprzedawała je na targu niedaleko kościoła. Była niską, grubą, nieatrakcyjną kobietą o twarzy naznaczonej trądzikiem. Widywałam ją tylko w niedziele, kiedy miała na sobie białe rękawiczki, ładną sukienkę i kapelusz. Prowadziła wtedy swoje dzieci do kościoła. Zawsze zachowywała od nas dystans.

Kiedy wróciliśmy z Warszawy, wszyscy moi kuzyni i przyjaciele chodzili już do szkoły, lecz ja wciąż byłam za mała, by móc się do niej zapisać. Nie miałam nic do roboty, nie miałam towarzyszy zabaw. Nie mogłam się doczekać, aż pójdę do szkoły. Płakałam i płakałam, póki matka nie zabrała mnie ze sobą na rozmowę z dyrektorem, panem Beriszem Kampelmacherem. Położył dłoń na mojej głowie i powiedział:

– Już niedługo, już niedługo. Już niedługo pójdziesz do nowej szkoły.

Ale musiałam z tym poczekać do moich siódmych urodzin.

Berisz Kampelmacher był dydaktykiem o innowacyjnych pomysłach. Przybył z Galicji i dzięki funduszom z prywatnych i rządowych źródeł zbudował nową szkołę dla Żydów. W szkole uczyli Żydzi i Polacy. Jako pierwszy wprowadził program wymiany niegrzecznych chłopców z polskich i żydowskich szkół. Niektóre dzieci w naszej szkole chodziły bardzo głodne. Każdego dnia Kampelmacher dawał tym dzieciom ciepłe mleko i kromkę chleba.

Jako że wszyscy moi przyjaciele chodzili teraz do szkoły, mogłam się bawić z dziećmi pana Skoblewskiego, które jako jedyne siedziały w domu. Jedna z jego córek, Helena, dziewczynka w moim wieku, bawiła się na podwórku. Matka

nalegała, żebym przestała się do niej przyklejać i wyszła na dwór pobawić się z Heleną. Helena miała piegowatą twarz, niebieskie oczy i rude włosy. Miała to samo spojrzenie, co jej matka, dziwne i odległe. Zeszłam na dół i zapytałam się, czy chciałaby pobawić się moją piłką. Odparła zdenerwowanym tonem:

– Nie bawię się z Żydami. – Po czym podeszła do mnie i napluła mi w twarz.

Zamarłam. Łzy zalały mi oczy. Stałam jak zamurowana. Minęła chwila, zanim pobiegłam schodami na górę i opowiedziałam matce, co się stało.

Matka słuchała mnie z niedowierzaniem. Próbowała mnie pocieszyć. Trudno było jej uwierzyć w tę sytuację. Ojciec bardzo się zdenerwował. Wziął mnie za ramię i był gotowy skonfrontować się z panem Skoblewskim, ale matka go zatrzymała. Kiedy w następny piątek pan Skoblewski przyszedł na cotygodniową rybę i chałkę, matka porozmawiała z nim o tym wydarzeniu. Zaniepokoiło go to. Było mu przykro, że jego żona zaszczepiła w dzieciach antysemityzm. Zapewnił matkę, że to się więcej nie powtórzy. Ale nigdy więcej nie spojrzałam na Helenę. Od swojej rówieśniczki, w wieku siedmiu lat dowiedziałam się, czym jest antysemityzm.

W 1933 roku produkcja pończoch zaczęła zajmować cały nasz dom. W dużym pokoju ustawiono maszyny i podzielono go na dwie części: pracowniczą i domową. Wszystkie rzeczy trzymano w wielkich szafach. Każdego dnia wszystkie towary gromadzono na zdobionym, żelaznym łóżku Bobe, stojącym w części domowej. Stosy pończoch przyćmiewały anioły na bordowo-złotym baldachimie. Maszyny pończosznicze nie były duże, ale ciągle hałasowały. Przez stukot maszyn przebijały się żarty, śmiech i śpiew pracujących dziewcząt. Ciągłe pojawianie się i znikanie różnych ludzi wzmagało zgiełk. Podczas świąt ojciec przenosił rzeczy i chował je, by zrobić więcej miejsca dla rodziny. Nasz dom był zatłoczony, głośny, radosny i pełen życia.

Moi rodzice, trzej bracia, Chaim, Szlojme, Tusza i moja ciotka Rajzla pracowali w rodzinnej firmie pończoszniczej. Chaja Grajok, wyglądem przypominająca Betty Grable, jako jedyna pracowała u nas przez cały rok. Reszta pracowników była zatrudniana okresowo; mieliśmy też podwykonawców. Bobe pomagała przy prowadzeniu gospodarstwa.

Ojciec jeździł pociągiem do Warszawy dwa razy w tygodniu, by sprzedać kupcom pończochy najlepszego gatunku. Drobni kupcy z Grodziska kupowali od matki niewielkie ilości drugorzędnych skarpet i pończoch, a kupcom z miejscowych targowisk sprzedawano skarpety trzeciorzędne.

Lato było okresem poza sezonem pończoszniczym, dlatego produkcja była minimalna. Ojciec trzymał wtedy tylko dwie maszyny. Jedna była przeznaczona dla Chai Grajok, by mogła pracować w czasie lata, a druga dla Szlojmego i Estery Pasterniak, którzy pracowali wtedy w niepełnym wymiarze. Ojciec wpadał od czasu do czasu, by upewnić się, że pończochy są dobrze formowane, a wykańczanie pończoch należało do ciotki Rajzli. W lecie ojciec przywoził swoje wyroby pończosznicze do Warszawy tylko raz w miesiącu. Resztę czasu pochłaniała mu praca w sadzie, który w lecie był naszym największym źródłem przychodu.

Dzierżawiliśmy sady od Polaków, między innymi od Szewczyków, Fuchsów i Wawrzyńczaków. Nikomu innemu nie chcieli ich wydzierżawiać. Tylko ojciec mógł pracować na ich ziemi. Ojciec był mistrzem ogrodnictwa. Miał do tego wrodzony talent. Nigdy się tego nie uczył, ale potrafił spojrzeć na zakwitające drzewo i już wiedział, ile kilogramów plonów wyda lub czy przemarzło w zimie i przez to nie wyda plonów. Właściciele bardzo ufali ojcu i kiedy proponował cenę dzierżawy wynikającą z jego oszacowania plonów, nigdy nie próbowali się z nim targować. Nigdy. Jakąkolwiek cenę zaoferował ojciec, zgadzali się na nią. Było tak co roku. Wielu rolników przychodziło do ojca po poradę.

Wiosną ojciec zatrudniał kogoś, by nocował w sadach i strzegł ich. Znajdowały się cztery kilometry za miastem. Ojciec dzierżawił również pola truskawek od Fuchsów i Wawrzyńczaków. W sezonie truskawek matka i ja zostawałyśmy w mieście, ponieważ wciąż chodziłam do szkoły. Ojciec pielęgnował pola truskawek z pomocą zatrudnionego robotnika. Za zbiór i pakowanie owoców nie płaciło się wtedy dużo.

Kiedy mijał sezon truskawek, zbieraliśmy wiśnie i inne owoce. Gdy rok szkolny dobiegał końca, matka i ja spędzałyśmy w sadach całe lato. Bobe nigdy nie chciała z nami iść. Wolała zostawać w mieście, żeby zajmować się domem i pomagać Rajzli. Wydawała wtedy pieniądze, które dostawała od swojej siostry zamieszkałej w Londynie, Chany Kanterowicz. Przeznaczała je na pielgrzymki do rabina Piaseczna, który dawał jej lecznicze zioła na jej dolegliwości. Kiedy Chana wracała do domu na weekendy, również zostawała w domu. Wolała chodzić z Rajzlą do kina, a nie jeździć na wieś. Obie uwielbiały filmy.

Sady ojca wydawały tak piękne owoce, że nigdy nie udawało mu się dotrzeć na targ, by je sprzedać. Kupcy mieli w zwyczaju przychodzić do niego i kupować plony na miejscu. Bywało, że nie zarabialiśmy zbyt wiele, ale matka mówiła wtedy: „Ale mamy świeże powietrze, świeże jajka i masło i świeżą rybę". Uwielbiała przebywać na wsi. Ja nie. Wolałam być w mieście i móc bawić się z przyjaciółmi, ale nie miałam wyboru. Najbardziej cieszyłam się, kiedy kończył się sezon zbiorów, bo to oznaczało powrót do szkoły.

Z owoców, które się nie sprzedały, matka robiła dżemy i przetwory. Kisiła też różne rodzaje warzyw i robiła kiszoną kapustę. Robiła pyszny cydr jabłkowy oraz jasne i ciemne piwo dla całej rodziny. Wszyscy piliśmy piwo. Nawet ja, jako dziecko, piłam piwo. Warzyło się ono w dużych garncach. To był całkiem niezły wyrób. Butelki zamykano za pomocą specjalnego przyrządu. W lecie trzymaliśmy butelki w piwnicy.

W szabat matka wyciągała kilka butelek i wkładała je do lodu. To był pyszny napój.

Nareszcie nadszedł dzień, w którym rozpoczęłam pierwszą klasę w szkole publicznej. Uwielbiałam szkołę i moją nauczycielkę, pannę Neuhaus. Moje najlepsze wspomnienia pochodzą ze szkolnych lat. Byłam dobrą uczennicą. Każdej nocy spałam z podręcznikami pod poduszką a pierwszą rzeczą, jaką robiłam po przebudzeniu, było przejrzenie mojej pracy domowej. Zawsze dostawałam najlepsze role w szkolnych przedstawieniach. Moi przyjaciele pochodzili z różnych środowisk, ale wszyscy byli dobrymi uczniami. To się dla mnie liczyło.

Chodziłam też do Bejs Jakow dwa razy w tygodniu; zadbała o to Bobe. Każdego ranka, kiedy przygotowywałam się do wyjścia do szkoły, Bobe pytała mnie, czy odmówiłam poranną modlitwę. Kiwałam wtedy głową i żeby uniknąć kłamstwa, recytowałam ją podczas drogi do szkoły. Kiedy docierałam do celu, odganiałam ręką moich przyjaciół, którzy chcieli ze mną porozmawiać, kiedy ja byłam zajęta modlitwą.

Kiedy byłam w pierwszej klasie, moja ciotka ze strony matki, ciotka Szyfra z Belgii, przyjechała do Grodziska z wizytą. Strasznie mi nadskakiwała. Przywiozła mi pyszne belgijskie czekolady i każdego dnia sadzała mnie na kolanach i wyciskała dla mnie sok pomarańczowy.

Moją nauczycielką w drugiej klasie była Irena Bojarska. Jej mąż był dyrektorem gimnazjum. Była bardzo miłą, atrakcyjną, uroczą i drobną kobietą, ale była bardzo wątła. Kochała swoich uczniów, a my kochaliśmy ją. Zawsze miałam ten przywilej, by przynieść jej drugie śniadanie. To zawsze były dwie bułki i szynka. Kiedy kupowałam szynkę, rozglądałam się, aby upewnić się, że nikt nie widział, kiedy wchodziłam do sklepu. Mógłby pomyśleć, że ta szynka jest dla mnie.

Pani Bojarska często chorowała, a wtedy ja i niektóre dziewczynki szłyśmy odwiedzić ją w domu. Przynosiłyśmy

jej ciastka z kremem, bo wiedziałyśmy, że je lubi. Leżała w łóżku, a my siadałyśmy dookoła niej, dumne z tego, że możemy być razem z nią. Modliłyśmy się o jej szybki powrót do szkoły.

Przez ciągły hałas wytwarzany przez maszyny w naszym domu, odrabiałam pracę domową w domach moich przyjaciół. Byłam zawsze mile widziana przez ich rodziców, ponieważ pomagałam ich dzieciom z ich pracą domową. Jedna z moich przyjaciółek, Madzia Wolanowska, mieszkała w dużym i przestronnym domu. Jej rodzina miała dwie pokojówki. Ojciec Madzi był dobrze prosperującym garbarzem. Podziwiałam ich styl życia i często myślałam o tym, że moi rodzice muszą ciężko pracować, by zarobić na życie. Ale wracając do domu mówiłam do siebie: „Owszem, moi rodzice ciężko pracują, ale za nic w świecie nie zamieniłabym się z Madzią. Jakbym mogła? Musiałabym oddać moich braci, Chaima, Szlojmego i Tuszę i moją siostrę Chanę. Nie zrobiłabym tego za żadne skarby". Tak się cieszyłam na moment kiedy wejdę do domu i ich zobaczę, że nie mogłam się doczekać, aż dotrę do celu.

W każdym nowym roku szkolnym potrzebowaliśmy nowych książek. Matka kazała mi je kupować od dzieci, które były klasę wyżej niż ja. Ale nie chciałam mieć używanych książek. Chciałam nowe. W tamtym czasie zarabiałam kilka złotych w tygodniu dzięki korepetycjom, których udzielałam innym dzieciom. Za te pieniądze kupowałam nowe książki. Zawsze byłam dobra w robieniu tego, co pozwalało mi otrzymać to, czego chciałam. Każdy rok szkolny kończył się klasowym piknikiem w lesie w Podkowie Leśnej. Ja i reszta moich kolegów i koleżanek z klasy, a wśród nich Madzia, Chaja Lichtensztajn, Regina Sierpska, Gucia Libchaber, Bajla Frenkel, Luzer Szulman, przez cały rok z niecierpliwością czekaliśmy na to wydarzenie.

Idąc do szkoły, zawsze mijałam dom Sendeka. Sendek był szewcem. Potrafił robić buty i potrafił robić dzieci. Żona Sendeka miała ośmioro dzieci. Najstarsze z nich przed wojną

skończyło dziesięć lat. Pani Sendek znała mnie i matkę. Jej matka i moja babka były przyjaciółkami. Pewnego dnia, kiedy wracałam ze szkoły w towarzystwie przyjaciół, zawołała mnie. Podeszłam, a ona powiedziała:

– Bądź tak miła, podejdź do Krygsmana i kup mi dziesięć deko masła.

Nie chciałam zostawiać przyjaciół, więc zapytałam:

– Dlaczego pani nie pośle swojej córki?

– Moja córka zje wszystko po drodze. Dlatego nie mogę jej wysłać. Proszę, kup mi masło – odparła.

Nie mogłam odmówić. Ale potem za każdym razem, gdy byłam w towarzystwie przyjaciół, nie patrzyłam jej w oczy, żeby znów nie wysłała mnie po masło.

Szewc Sendek miał gramofon RCA Victor i płyty Tony'ego Martina i innych sławnych piosenkarzy. Wypożyczał go innym. Za każdym razem, gdy Chana wracała do domu z Warszawy, ona, Chaim, Szlojme i reszta ich przyjaciół wypożyczali go od Sendeka za pięć złotych i urządzali w domu tańce. Na jednych z nich Chaim tańczył z Ryfką, swoją ówczesną dziewczyną, która była piękna. Rozdzieliłam ich i powiedziałam:

– Nie, nie, masz zatańczyć ze mną.

Ale nie potrafiłam tańczyć, więc stałam na stopach Chaima, żeby zatańczyć z nim tango. Właśnie w ten sposób nauczyłam się tańczyć. Miałam osiem lat.

Moi rodzice udzielali się społecznie. Matka była zaangażowana w pomoc miejskim sierotom, biednym ludziom i zbierała pieniądze na posagi dla dziewcząt. Ojciec był zawsze zajęty wieloma sprawami.

Ojciec był członkiem komitetu pożyczkowego. Po skończonej pracy mył się, zakładał ładną koszulę i szedł na posiedzenie komitetu. Gdy wracał do domu, opisywał

matce wszystkie szczegóły. Byłam za mała, by zrozumieć, o czym rozmawiali. O wszystkim dyskutowano w sekrecie. My, dzieci, nie musiałyśmy wiedzieć o tych rzeczach. Z nas wszystkich tylko Tusza należał do jakiegoś stowarzyszenia – socjalistycznej młodzieżówki o nazwie SKIF.

Pewnego razu szukałam czegoś w szafie i znalazłam brązową koszulę zawiniętą w małą paczuszkę. Zapytałam ojca:

– Co to jest?

Odpowiedział łagodnie:

– Odłóż to, odłóż to.

Pewnego dnia przyszedł do nas kuzyn ojca i powiedział:

– Motta, dziś o ósmej wieczorem.

Nie wiedziałam, co miał na myśli. Ale kiedy zobaczyłam, jak ojciec podchodzi do szafy i wyjmuje brązową koszulę, zapytałam o to matkę. Nie chciała ze mną o tym rozmawiać i powiedziała:

– Ach, nieważne.

Zdarzenia takie jak to zaczęły się powtarzać. Kolejny z kuzynów ojca często przynosił dla niego wiadomości. W końcu dowiedziałam się, że ojciec należał do Bejtaru. Był rewizjonistą. Marzeniem ojca było zamieszkanie w Izraelu. Ale matka nie chciała nigdzie wyjeżdżać. Chciała po prostu mieszkać ze swoją matką w Grodzisku.

Od zawsze uwielbiałam przebywać z ojcem. Kiedy wracał z pracy w każdy piątek, przebierał się w ładniejsze ubrania i wychodziliśmy razem na spacer. Ojciec uwielbiał palić papierosy i za każdym razem, kiedy wychodziliśmy na spacer, palił. Wszyscy, których spotkaliśmy po drodze, okazywali mu ogromny szacunek. Podobał mi się sposób, w jaki traktowali go ludzie. Byłam bardzo szczęśliwa i dumna, ponieważ wszyscy go lubili. Zawsze się uśmiechał. Dzieci naszych krewnych często przychodziły, by się przywitać, a on wtedy dawał im drobne na lodowy rożek.

Ojciec był życzliwy i lubił wszystkich. W zamian za to inni również darzyli go sympatią. Nasz listonosz, młody chłopak niemieckiego pochodzenia, zaprzyjaźnił się z ojcem. Za każdym razem, gdy ten roznosił pocztę, ojciec zapraszał go do siebie na kawę i papierosa. Wiedział, że chłopak jest bardzo biedny i za każdym razem dawał mu trochę pieniędzy. W piątki zawsze chodziliśmy do sklepu Neuhausa, znajdującego się na rynku, gdzie ojciec kupował tytoń. Na rynku na szczególną uwagę zasługiwał pomnik wykonany z dużych, ciężkich kamieni. Pomnik upamiętniał żołnierzy, którzy zginęli w I wojnie światowej oraz wojnie o niepodległość Polski. Stał on w samym środku rynku. Z dumą czytałam wtedy napisy wyryte na pomniku.

Wyszedłszy od Neuhausa, ojciec lubił wstępować do Berla Belmachera. Prowadził on małą gospodę poza rynkiem, w której handlarze pończoch odpoczywali, plotkowali i dyskutowali o polityce. Z tyłu stał stół bilardowy, a Berl Belmacher sprzedawał piwo i słodycze. Kiedy miałam ochotę na coś słodkiego i kiedy nie mogłam nigdzie znaleźć ojca, szukałam go właśnie w tamtym miejscu. Jasna sprawa, zawsze tam popijał piwo bądź herbatę z przyjaciółmi.

Lubiłam przysłuchiwać się jego rozmowom. Był oczytany i wiedział, co dzieje się na świecie. On i jego przyjaciele zawsze dyskutowali o sprawach światowych i ich wpływie na żydowskie. Nie byli nadmiernie zaniepokojeni Hitlerem; dla nich był tylko kolejnym niemieckim antysemitą w świecie polityki. Zarówno w środowisku politycznym, jak i kościelnym, antysemityzm był powszechnym zjawiskiem. Nie przejmowali się również planami przesiedlenia Żydów na Madagaskar czy do innych miejsc w celu rozwiązania w Europie kwestii żydowskiej. Nawet dzieci zdawały sobie sprawę z istnienia planów przesiedleń. Jednym z nich była żydowska kolonia w Birobidżanie, o której śpiewaliśmy przyśpiewki. Gdy w Grodzisku zaczęto puszczać film o tej kolonii, marudziłam rodzicom, żeby mnie na niego zabrali.

Gdy oglądaliśmy, jak żydowscy osadnicy oczyszczają bagniste ziemie i budują domy z bali, matka powiedziała: „Kto wie, czy nasze kości nie wylądują na takim bagnie". Okrutne i pełne przemocy aspekty antysemityzmu, takie jak pogromy, nie były przedstawiane małym dzieciom.

Rodzeństwo ojca było rozproszone po świecie. Jego starszy brat Joska mieszkał w Brazylii. Dawid, jeden z kuzynów Ojca, zostawił żonę i dzieci i również udał się do Brazylii. Gdy jego wiza się skończyła, poszedł do Joski i powiedział:

– Wracam do Polski. Twój brat ma dorosłe dzieci i bardzo byś pomógł, gdybyś wysłał mu trochę pieniędzy na nowe maszyny.

Joska powierzył mu pięćdziesiąt amerykańskich dolarów, by wręczył je Mordechajowi. W przedwojennej Polsce była to spora suma.

Rodzina Dawida mieszkała w tym samym budynku, co my. Kiedy był w Brazylii, jego żona ledwo wiązała koniec z końcem. Matka dokarmiała ją i trójkę jej dzieci. Po tym, jak Dawid wrócił do domu, jego żona zaczęła piec i gotować z ogromnym entuzjazmem. Matka domyśliła się, że musiał przywieźć z Brazylii jakieś pieniądze.

Niedługo potem przyszedł list z Brazylii. Joska napisał: „Wysłałem Wam pieniądze przez Dawida, czy je otrzymaliście? Jeśli je dostaliście, dlaczego nie odpisujecie?". Gdy matka to przeczytała, powiedziała:

– Co za oszust!

Kiedy jednak zapytali o to Dawida, stwierdził, że nie wie nic o żadnych pieniądzach. Ojciec napisał Josce, że Dawid podobno nic od niego nie otrzymał. Joska w kolejnym liście opisał ze szczegółami, jak Dawid przyszedł do jego sklepu ze swoją historią. I potem nigdy więcej już nie napisał. Ani razu nie odpowiedział na nasze późniejsze listy.

Gdy nadeszła wiosna, pojechaliśmy do sadów Szewczyków, żeby zobaczyć, czy drzewa poradziły sobie z zimą. Pan Szewczyk, dobrze zbudowany mężczyzna o niskim wzroście, przywitał ojca i powiedział:

– Muszę panu coś powiedzieć. Przyszło tu dwóch Żydów. Błagali, żebym wydzierżawił im sady na ten sezon. Zaoferowali mi bardzo wysoką zapłatę. Domyślam się, że pan ich zna i że oni wiedzą o pana corocznej dzierżawie u mnie.

Matka zapytała, jak wyglądali.

– Jeden z nich był wysokim blondynem, a drugi był niski, miał ciemne włosy i ciemne oczy. Matka od razu wiedziała, kim byli. Blondynem był Mosze „Białas" Burman, kuzyn ojca w pierwszej linii. Był bardzo przystojnym mężczyzną, który służył w polskiej kawalerii. Chciał poślubić moją siostrę Chanę, ale matka nie chciała nawet o tym słyszeć. Drugim mężczyzną był mąż kuzynki matki, Estery. Pan Szewczyk powiedział matce:

– Nie wyglądali na uczciwych.

Matka nie chciała przyznać, że należeli do rodziny. Nie chciała się za nich wstydzić.

Kiedy wróciła do domu, opowiedziała Bobe o zdarzeniu. Nie byliśmy blisko z tamtymi kuzynami. W końcu Mosze „Białas" Burman był synem Josela Burmana i mieszkał teraz w domu, z którego nas wyeksmitowano przez spór o spadek. Byłam za to na nich wściekła. Nie potrafiłam pojąć, jak mogli zrobić coś takiego.

Szewczykowie mieli duży dom. Parter pełnił rolę sali lekcyjnej. W lecie był pusty, więc używaliśmy go jako kuchni. Szewczykowie traktowali nas ciepło, życzliwie, dzięki czemu czuliśmy się jak członkowie rodziny. Pani Szewczyk była silną, zdrową kobietą. Mieli ośmioro dzieci i Bóg mi świadkiem, że nigdy nie były dla nas niemiłe. Pan Szewczyk miał młodszego brata, z którym nie był w dobrych stosunkach.

Jego młodszy brat poślubił kobietę, której ojciec miał dużo ziemi. Moi rodzice jednak przyjaźnili się z nimi oboma.

Pan Wawrzyńczak był kolejnym właścicielem ziemi, z którym mieliśmy doskonałe stosunki. Był wysoki, nieco zgarbiony i tak chudy, że wyglądał na chorego. Był wykształcony, a jego dzieci studiowały na uniwersytecie w Warszawie. Ojciec i pan Wawrzyńczak zawsze dyskutowali o polityce. Dzierżawiliśmy od niego pola z truskawkami i sady gruszkowe i jabłkowe. Często odwiedzaliśmy go podczas sobotnich wycieczek. Zawsze byliśmy ciepło witani. Spędzaliśmy cały dzień w sadzie, siedząc na trawie, a gdy Wawrzyńczakowie skończyli doić krowy, przynosili nam świeże mleko. Wawrzyńczakowie mieszkali obok Fuchsów, z którymi nie dogadywali się dobrze.

Fuchsowie byli niemieckiego pochodzenia, tak samo jak nasz listonosz, któremu pomagał ojciec. Byli także najlepszymi przyjaciółmi moich rodziców. Rodzice bywali na organizowanych przez nich przyjęciach bożonarodzeniowych, weselach i pogrzebach. Fuchsowie mieli pięcioro dzieci: cztery córki i jednego syna, Władka. Wszystkie ich dzieci były wykształcone. Ich zamężne córki były nauczycielkami w kilku miastach, a Władek pracował w banku P.K.O. w Warszawie. Dużą część letnich wakacji spędzałam w domu Fuchsów. Bardzo przywiązałam się do ich najmłodszej córki, Basi. Za każdym razem miała dla mnie coś do przeczytania albo napisania i zawsze przynosiła dla mnie kartki i ołówki. Lubiła, kiedy podczas jej pracy w kuchni siedziałam przy kuchennym stole i zajmowałam się rysowaniem. Ja także lubiłam z nią przebywać.

Władek Fuchs był wysokim, przystojnym i dobrze wychowanym młodym mężczyzną. Był dobrym przyjacielem Chaima, Chany i Szlojmego. Zawsze, kiedy przyjeżdżał na weekend, spędzał czas z nami i naszymi gośćmi; w szczególności z naszą pracownicą Chają Grajok, sobowtórem Betty Grable. Chaja miała piękne, długie nogi i śliczną,

okrągłą twarz. Władek, jak każdy mężczyzna, był nią zainteresowany. Widzieliśmy, że jest w niej coraz bardziej zakochany. Podsłuchałam, jak mówił matce: „Jej nogi są warte fortunę". Matka powtórzyła to Chai i dodała:

– Władek Fuchs jest w tobie zakochany. Jesteś tak piękna, że ożeniłby się z tobą od razu.

W tamtych czasach jednak nie wchodziło w grę, żeby dziewczyna tak biedna jak Chaja wyszła za tak bogatego i przystojnego mężczyznę jak Władek. Przeszkodą nie była religia; Chaja była zresztą członkinią partii komunistycznej. Wszyscy jej przyjaciele byli komunistami. Tabu związane z małżeństwami między Żydami i Polakami rzadko jednak było przełamywane, szczególnie w małych miasteczkach.

Chaja Grajok nie była jedyną komunistką w Grodzisku. Wielu ludzi sądziło, że mój brat Chaim jest komunistą, ponieważ jego najlepszy przyjaciel Akiwa, był najbardziej zdeklarowanym komunistą w całym mieście. Akiwa nie chciał pracować, tłumacząc, że nie zamierza nie dał się wykorzystywać kapitalistom i że poczeka, aż Stalin go oswobodzi. Matka nie cierpiała Akiwy. Nie dość, że był starym kawalerem, który nie pracował, to w dodatku utrzymywała go owdowiała matka. Z kolei Chaim zawsze pierwszego maja zamykał drzwi na klucz, aby nikt nie wyszedł z pracy. „A to mi komunista!" mówiła szyderczo matka.

Chaja Grajok nie była jedyną osobą w Grodzisku, która przypominała gwiazdę Hollywood. Jeden z naszych kuzynów, Mosze Grzymek, właściciel najnowocześniejszego salonu fryzjerskiego w Grodzisku, w którym strzygł się nasz gospodarz, pan Skoblewski, miał przepiękne dziecko. Jego córka miała blond loki, niebieskie oczy i z wyglądu przypominała Shirley Temple.

W 1935 roku umarł Józef Piłsudski, narodowy bohater, wyzwoliciel i marszałek Polski. Wszyscy opłakiwali jego odejście. O jego śmierci powiedziano nam w szkole i wszyscy wtedy płakaliśmy. Piłsudski był marszałkiem, który dobrze traktował mieszkających w Polsce Żydów. Jego następcą został jawny antysemita, Edward Rydz-Śmigły.

Pewnego pamiętnego dnia roku 1935 moja siostra poznała Maksa Szyldszrajbera. Zakochali się w sobie. Maks był szczupłym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Myślał i działał szybko i praktycznie, był zaradny i stał mocno na ziemi; uczucia okazywał jedynie Chanie. Zdecydował się opuścić rodzinny Ciechocinek, gdzie jego bliscy prowadzili sklep z pamiątkami. Postanowił wyjechać do Warszawy. Choć sklep prosperował bardzo dobrze, to Maks nie miał dobrych relacji z siostrami, dlatego wyjechał. W Warszawie pracował w składzie z boazerią.

Chana poprosiła rodziców, żeby przyjechali do Warszawy i poznali Maksa. Mama go nie polubiła.

– Młody Żyd opuszcza rodziców? Nie pracuje z rodziną? To nicpoń, nie będzie dobrym mężem.

Chanę takie słowa matki doprowadzały do rozpaczy. Miała nadzieję, że rodzice zaakceptują Maksa, ale matka wciąż była mu przeciwna. Chana pojechała do Warszawy, cała we łzach. Oboje naprawdę się kochali i kiedy nasi rodzice się zdali sobie z tego sprawę, zaprosili do Grodziska ojca Maksa i podjęto przygotowania do ślubu.

Przyjęcie zaręczynowe zorganizowano w Warszawie u kuzyna mamy, Dawida Domba. Bardzo dobrze mu się powodziło; pamiętam sofy w jego mieszkaniu, obite czerwonym aksamitem. Z samego przyjęcia zapadł mi w pamięć wygląd mojej siostry, kiedy całowała się z Maksem. Miała wtedy na sobie jasnoniebieską sukienkę, ozdobioną białym kwiatem. Po ich pocałunku zasnęłam na kanapie i obudziłam się dopiero następnego ranka.

Przyjęcie weselne wyprawiliśmy w naszym domu, w Grodzisku. Przyjechało tylko kilkoro krewnych matki, więc tego dnia poszła ona do bejs midrasz i zaprosiła biednych na wesele. Nie wyznaczyła dla nich osobnego stołu, siedzieli razem ze wszystkimi.

Przy tym stole siedzieli też siostra mojej babci, Necha i jej mąż, Chaim Flint, bardzo majętny człowiek. Był oburzony takimi egalitarnymi zwyczajami. Mówił, że ci ludzie powinni siedzieć przy innym stole. Wyszło z tego spore zamieszanie. Przez jego zachowanie musieliśmy przynieść dla nich osobny stół. Mamie, która sama wychowywała się w biedzie i bez ojca, było bardzo przykro z tego powodu.

Ze strony Maksa przyjechał tylko jego ojciec. Jego matka była sparaliżowana i jeździła na wózku inwalidzkim. Nie mogła podróżować. Siostry Maksa też nie przyjechały. Do tamtej pory nie wybaczyły mu, że opuścił rodzinę, podobnie jego brat.

Chana i Maks zamieszkali w Warszawie, przy ulicy Nowolipie. Potem mogli sobie pozwolić na przeprowadzkę do większego mieszkania na Lesznie.

***

Niedługo po ślubie Chany narzeczoną – dzięki naszej nieustającej w wysiłkach matce – znalazł też mój brat, Chaim, pierworodny rodziców. Miał poślubić Surkę Jabłkowską, dobrze ułożoną, brązowooką łodziankę o blond włosach. Jej rodzina zajmowała się wyrobem płaszczy przeciwdeszczowych i Chaim miał im pomagać. Mama nie mogła się nacieszyć, że jej dwudziestosześcioletni syn, niemalże stary kawaler, się ożeni. Chaim pojechał do Łodzi, żeby poznać narzeczoną i jej rodzinę. Bardzo ich polubił, a oni cieszyli się z jego talentu do interesów.

***

W 1936 roku Chana urodziła córkę, Felunię. Felunia nie była podobna do żadnego z rodziców. Miała zielone oczy

i blond włosy, a Chana i Maks – ciemne. Najbardziej podobna była do naszego ojca. Jej narodziny wywróciły nasze życie do góry nogami, nie posiadaliśmy się ze szczęścia. W każdą sobotę siostra przywoziła małą do Grodziska. Felunia była naszym oczkiem w głowie, najważniejsza zawsze i dla wszystkich. Mając niespełna dziesięć lat zostałam ciocią i pękałam z dumy. Przynosiłam zdjęcia Feluni do szkoły i pokazywałam je koleżankom. Pewnego dnia rodzice dali mi kieszonkowe i pozwolili pojechać do Feluni, do Warszawy samej, pociągiem. Byłam taka zadowolona z tego powodu!

Niezależnie od tego, jak daleko od siebie mieszkaliśmy, święta zawsze spędzaliśmy razem. Byliśmy ze sobą bardzo związani, szczególnie bliski związek łączył Chaima i Chanę. Kiedy Chana rodziła, Chaim przyjechał, żeby zabrać mamę do Warszawy. Przywiózł ze sobą całe pudło prezentów dla dziecka. Z ciekawością oglądaliśmy rzeczy, które przywiózł. W pudle były różowy płaszczyk i trzy aksamitne sukieneczki różniące się tylko kolorem: jedna biała, druga niebieska, a trzecia różowa.

Mama spytała Chaima, dlaczego kupił trzy takie same sukienki. Powiedział, że były śliczne, więc chciał, żeby Felunia miała po jednej w każdym kolorze.

Mama stwierdziła, że jedna wystarczyłaby w zupełności. Byłam na nią za to zła. Dlaczego Felunia nie miałaby mieć wszystkich trzech?

***

Bobe dostawała pieniądze od swojej siostry mieszkającej w Anglii. Dzięki nim mogła sobie pozwolić na pielgrzymki do piaseczyńskiego rabina i na różne cmentarze. Pieniądze trzymała w kieszeniach halek, które zawsze nosiła. Jej wzrok już zawodził i musiała szukać tych kieszonek palcami. Czasami nie wkładała pieniędzy dokładnie, więc podczas domowej krzątaniny monety wypadały na podłogę. Zawsze je zbieraliśmy.

Pewnego dnia znalazłam w korytarzu pięć złotych. Dla dziesięciolatki była to zawrotna suma. Ileż lodów i czekolady można by za to kupić! Wiedziałam, że to pieniądze babci i powinnam je oddać jej. Może jednak należy mi się, pomyślałam, jakaś nagroda za ich znalezienie? Nie mogłam zwrócić się z tym do mamy, poszłam więc do ojca. Byłam pewna, że przychyli się do mojego pragnienia.

Znalazłam odpowiedni moment i powiedziałam mu o swoim znalezisku.

– Pieniądze pewnie należą do Bobe – odpowiedział. – Oddaj jej.

– Tato, a może ty oddasz te pieniądze? Mógłbyś poprosić Bobe, żeby dała mi złotówkę nagrody.

– Zobaczymy – uśmiechnął się do mnie.

W końcu Bobe dała mi tylko pięćdziesiąt groszy. Było to mniej niż się spodziewałam, ale i tak więcej, niż gdybym poprosiła o pomoc mamę.

***

Lato spędzaliśmy wtedy u Fuchsów. Spałam razem z rodzicami w sypialni na strychu, a moi bracia w stodole, na sianie. Kiedy przyjechali Chana i Maks, mama oddała im sypialnię i od tego czasu my też spaliśmy w stodole. Mama uwielbiała spanie na sianie. Mówiła, że cudownie pachnie.

Któregoś razu bawiłam się przy studni i oglądałam swoje odbicie w wodzie, kiedy nagle coś upadło obok. Pomyślałam, że ktoś rzucił kamieniem, ale gdy spojrzałam w dół, zobaczyłam czerwoną buteleczkę. Podniosłam ją. Na etykiecie było napisane „Trucizna". Obejrzałam się, żeby zobaczyć, skąd mogła zostać rzucona. Zobaczyłam otwarte okno na strychu. Mieszkało tam dwoje młodych Polaków: śliczna kobieta o długich, brązowych włosach, które często czesała oraz jej mąż, bardzo przystojny i zawsze w nienagannie czystej koszuli. Domyśliłam się, że to stamtąd wyrzucono

butelkę. Wiedziałam, że mężczyzna był w pracy, więc od razu pomyślałam, że jego żona próbowała się otruć. Pognałam do domu. Basia była w kuchni.

– Spójrz, to chyba wypadło z okna na górze – powiedziałam.

Wzięła ode mnie butelkę i pobiegła na schody, ja za nią.

Śliczna kobieta o długich, brązowych włosach leżała na łóżku. Kiedy nas zobaczyła, zaczęła krzyczeć, że połknęła truciznę. Wybuchł okropny zamęt i od razu zabrano ją do szpitala. Byłam wstrząśnięta i cały czas zastanawiałam się, co się stało. Mama wyjaśniła mi, że ta kobieta próbowała popełnić samobójstwo, bo mąż nie był jej wierny, a ona nie potrafiła tego znieść.

Wszyscy sąsiedzi przychodzili, by zobaczyć mamę i pogratulować mi szybkiej reakcji, dzięki której udało się uratować tę dziewczynę. Kobiety chwaliły mnie i przytulały.

– Jakie mądre dziecko! – mówiły.

Jakiś czas później, podczas spacerów z Felunią, kilkukrotnie widziałam męża tej młodej kobiety. Zawsze akurat szedł w odwiedziny do żony. Była bardzo długo w szpitalu.

***

Szmulek Szlak, nasz kuzyn, wiecznie uciekał z domu. Matka miała siostrę cioteczną, Jettę Szlak. Pozostawały w bardzo bliskich stosunkach. Po owdowieniu ciotka wyszła za mąż za mężczyznę z pięciorgiem dzieci. Jej syn, Szmulek, serdecznie go nie znosił i często uciekał z domu. Nie mógł znieść tego, że musi dzielić się z nim matką. W końcu zamieszkał z dziadkami, Ettel i Meirem Dombami. Meir prowadził z powodzeniem przedsiębiorstwo transportowe. Był bratem Dawida Domba , w którego mieszkaniu odbyło się przyjęcie zaręczynowe Chany.

Szmulek przyjaźnił się z Szlojmem. Matce się to nie podobało. Nie chciała, żeby Szmulek kręcił się dookoła naszego domu. W wieku szesnastu lat Szmulek uciekł

do Czechosłowacji. Wrócił dwa lata później. Szlojme od razu zapalił się do podobnej wyprawy. Mama przeczuwała, że Szmulek może powtórzyć ucieczkę jeszcze raz i miała na obu oko niczym jastrząb.

Kiedy Szmulek nas odwiedzał, Szlojme zwykle pracował, ale zawsze znajdował czas, żeby wyjść i z nim porozmawiać. Matka zbudowała całą siatkę szpiegowską, żeby podsłuchiwać ich rozmowy. Okazało się, że Szmulek rzeczywiście starał się przekonać Szlojmego do wyjazdu. Chciał pojechać do Gdańska i tam zaciągnąć się na statek. Wszyscy byli bardzo oburzeni, kiedy sprawa wyszła na jaw. Szmulkowi nie udało się przekonać Szlojmego do swojego planu. Pojechał z nim Jozel Pięknis.

Szmulek i Jozel Pięknis wybrali się do Gdańska koleją. Znaleźli ich jednak konduktorzy i chłopcy musieli wyskoczyć z jadącego pociągu, żeby im uciec. Szmulek skoczył pierwszy i zdążył się przetoczyć do rowu przy torach. Jozelowi Pięknisiowi się to nie udało. Stracił obie nogi powyżej kolan. Był kaleką, kiedy przyniesiono go do domu. Szmulek nie wrócił z nim do Grodziska. Pojechał dalej. Cały sztetl był wstrząśnięty tą historią. Mama płakała i wypominała Szlojmemu, że to on mógł skończyć bez nóg. Jozel Pięknis dostał od kolei koncesję na sprzedaż papierosów. Utrzymywał się z tego bez trudu. Nawet się ożenił.

***

Na Rosz ha-Szana Chaim przywiózł do Grodziska swoją narzeczoną, Surkę. Wraz z mamą pojechałyśmy po nich bryczką na stację. Kiedy wyjeżdżałyśmy, zatrzymał nas Mosze „Białas” Burman. Szedł nas odwiedzić.

– Chawcia, mam nadzieję, że już się na mnie nie gniewasz i możemy przywitać Nowy Rok w dobrych stosunkach. Zapraszam Chaima, jego narzeczoną i całą waszą rodzinę na kolację.

Wszyscy poszliśmy.

Mosze nie szczędził wydatków, by przygotować dla nas posiłek. W końcu poznaliśmy jego żonę i dzieci. Za każdym razem, kiedy Chana przyjeżdżała z weekendową wizytą do Grodziska, Mosze przychodził do niej. Wciąż był w niej zakochany.

***

Wczesną zimą 1937 roku Chaim się ożenił, a Szlojme, który skończył dwadzieścia jeden lat, dostał powołanie do wojska. Do Łodzi na ślub Chaima pojechali tylko moi rodzice, Chana i Szlojme – w mundurze. Wyglądał w nim bardzo dobrze i wszyscy byli z niego dumni.

Dzień ślubu Chaima był najszczęśliwszym dniem w życiu mamy. Ja też byłam bardzo zadowolona. Nie mogłam się doczekać, aż Chaim się ożeni, wyprowadzi i nie będzie więcej mną rządził. Ale kiedy tylko opuścił dom, zaczęłam okropnie za nim tęsknić, podobnie jak pozostali. Wszyscy byliśmy w bardzo złym nastroju. Czuliśmy się zagubieni, jedynie mama opierała się tym emocjom. Ona nie posiadała się z radości, że Chaimowi trafiła się taka dobra partia, rodzina Surki bardzo dobrze przecież prosperowała i dała jej spory posag. Mama uważała Surkę za cudowną dziewczynę i cieszyła się, że rozpoczęli z Chaimem wspólne życie. Zdarzały się jednak chwile, kiedy i ona bardzo tęskniła za Chaimem. Wkładała wtedy najlepszą sukienkę, do tego kapelusz ozdobiony piórkiem i jechała do Łodzi.

Ojcu brakowało Chaima najbardziej; od tego momentu to na nim spoczęły w całości interesy. Chaim radził sobie z nimi naprawdę dobrze, nadzorował pracowników i codzienne sprawy firmy, szukał materiałów, kontaktował się z dostawcami. Sam naprawiał maszyny i wykonywał modele. Nie było rzeczy, z którą by sobie nie poradził. Na domiar złego Szlojme, który i tak nie miał smykałki do interesów i w ogóle się nimi nie przejmował, był akurat w wojsku.

Ojciec czuł się tym bardzo przytłoczony. Pewnie nigdy nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo polegał na Chaimie. Było mu niezwykle trudno przyzwyczaić się do jego nieobecności, pomimo tego, że wszyscy mu pomagali, nawet Bobe. Szyła trochę pończoch. Ja z kolei byłam kurierem.

Przede wszystkim zajmowałam się zanoszeniem pończoch do naszych współpracowników, wykończeniowców i do formowania. Spore tobołki towarzyszyły mi właściwie zawsze. Naprawdę ciężko pracowałam. Z różnymi sprawunkami wysyłano mnie zresztą już od roku.

Jednym z rzemieślników, którzy pracowali nad pończochami był Hersz „Knysz" Opolion. Świetnie sobie radził z owijaniem nici na szpulach, których używaliśmy. Jeśli nić została źle nałożona, odwijała się i była do niczego.

Pewnego razu wysłano mnie do Hersza po zamówienie, ale akurat przygotowywał sobie śniadanie i nie chciał, żeby mu się przypaliło. Ja musiałam poczekać.

– Możesz patrzeć, jak przygotowuję omlet – powiedział.

Zrobił go z piętnastu jaj. Było mi trudno uwierzyć w to, co widzę. Po powrocie do domu opowiedziałam o tym mamie.

– Jego żonie i dzieciom ledwo starcza na jedzenie, a on jada omlety z piętnastu jaj – stwierdziła – Teraz już wiesz, dlaczego nazywamy go „Knysz".

***

Po moich jedenastych urodzinach mama zaczęła chorować. Nie mogła jeść, wymiotowała. Słabła coraz bardziej, aż w końcu przestała wstawać z łóżka. Do domu przyjechali Chana i Chaim i zabrali ją do lekarza w Warszawie. Doktor Glajgiewcz, niemiecki Żyd, postawił diagnozę – wrzody żołądka. Choroba postępowała i mama nie miała sił, żeby przygotowywać szabas.

– Mamo – powiedziałam – Poradzę sobie.

– Nie możesz tego robić – zaprotestowała – Jest za dużo zakupów do zrobienia i mnóstwo gotowania.

Ja jednak nalegałam. Poszłam na targ i przyniosłam do domu ryby, jajka i produkty potrzebne do zrobienia domowych klusków dla co najmniej ośmiu osób. Do ciasta zużyłam dwa kilogramy mąki i sześć jajek. Stół był dla mnie za wysoki, pracowałam, stojąc na stołku. Babcia sypała mąkę, a ja wbijałam jajka i ugniatałam ciasto. Potem wszystko rozwałkowywałam i cięłam na cienkie paski. Kiedy mama zobaczyła, że naprawdę sobie radzę, stało się to moim cotygodniowym zadaniem.

Pewnego razu przyszła sąsiadka i zobaczyła mnie stojącą na stołku i przygotowującą kluski. Nazywała się Chana i nie miała dzieci.

– Nie mogę w to uwierzyć! – krzyknęła – Ile jajek zużyłaś?

– Sześć – odpowiedziałam.

– I zrobiłaś to sama?

Poszła do mojej mamy i powiedziała:

– Wiesz, Chawciu, kiedy ona to robi, to lepiej zamykaj drzwi. Żeby nikt jej nie zobaczył i nie nałożył na nią nahory.

Oprócz robienia klusków, myłam marchew na cymes, obierałam ziemniaki na czulent i nosiłam chałkę do piekarni i z powrotem. Miałam sporo pracy. Nie miałam już czasu na spacery z tatą w piątkowe popołudnia. Jak tylko wracałam ze szkoły, odkładałam plecak i brałam się za przygotowywanie szabasu. Pracowałam jako dziecko bardzo ciężko. Nie miałam wyboru, skoro moja pomoc była potrzebna.

Mama coraz częściej miewała ataki choroby. Chaim miał w Łodzi telefon, a Chana mogła używać telefonu w pracy

u Maksa. Kiedy mama gorzej się czuła, Chana dzwoniła do Chaima.

***

Pewnego gorącego letniego dnia pojechałyśmy z mamą na wieś, leżałyśmy w trawie, kiedy zobaczyłam zbliżającego się do nas doskonale ubranego mężczyznę.

– Mamo – powiedziałam – Wiesz, kto idzie? To Chaim.

– Dlaczego tak żartujesz? – odpowiedziała – To niemożliwe, żeby Chaim teraz przyjechał.

– Mamo, mówię ci, że to Chaim. Zobacz sama!

Kiedy Chaim się zbliżył, powiedział:

– Mamo, Chana powiedziała mi, że nie czujesz się dobrze. Chciałbym, żeby zobaczył cię doktor.

– Nie masz prawa przyjeżdżać tu i zostawiać swojej ciężarnej żony. Nie wolno opuszczać żony w ciąży, ona potrzebuje cię bardziej niż ja.

Byłam na mamę wściekła. Przyjechał do niej, jak tylko usłyszał od Chany, że z mamą jest kiepsko, a ona go odprawiła w taki sposób:

– Wracaj do swojej żony jeszcze dziś.

Dlaczego powiedziała tak do swojego własnego syna? Zmusiła Chaima, żeby jeszcze tego samego dnia wsiadł do pociągu do Łodzi.

Niedługo później ciężarna żona Chaima, Surka, zaczęła rodzić. Podczas porodu musieli dokonać wyboru, albo przeżyje dziecko, albo jego matka. Surka urodziła martwe dziecko. Nasze serca były rozdarte.

***

Śmiertelność noworodków była w Polsce wysoka. Moja ciocia Rajzla miała trzech synów, wszyscy umarli

w niemowlęctwie. Z czworga jej dzieci z Lejzorem przeżyło tylko pierwsze – moja kuzynka, Ita, śliczna niebieskooka blondynka. Lejzor był zdruzgotany śmiercią swoich trzech synów. Poszedł na konsultację do rabina. Rabin powiedział mu, że pierwsza bezpłodna żona rzuciła na niego klątwę z zemsty za rozwód i że powinien nosić tylko białe skarpetki. Szczęśliwie zajmowaliśmy się pończosznictwem, więc nigdy nie brakowało mu białych skarpet.

Ita nie była dobrą uczennicą i wujek Lejzor zatrudnił mnie jako korepetytorkę dla niej za 50 groszy za godzinę. Ita nie była moją jedyną uczennicą, ale była trudna. Jeśli była skupiona, udawało jej się dostawać najwyżej mierne oceny. Kiedy przestawała mnie słuchać i gapiła się w ściany, oblewała. Frustrowało mnie to tak, że w końcu odmówiłam udzielania jej korepetycji. Wujek Lejzor błagał mnie, żebym uczyła ją dalej. Trudno było mu odmówić. Ita była przecież moją jedyną kuzynką od strony mamy. Była też ulubioną wnuczką Bobe.

Bobe zawsze dawała Icie podarunki i pieniądze. Kiedy mama zauważyła to faworyzowanie, zwróciła babci uwagę.

– Myślisz, że Fajga nie widzi, co robisz? Myślisz, że nie jest jej przykro?

Na co Bobe odpowiedziała:

– Ale Fajga już wszystko ma.

Na początku roku w rodzinie wybuchł skandal. Lejzor przyłapał Rajzlę z kochankiem. Zbił ją. Rozwiedli się od razu, a Lejzor natychmiast ożenił się z inną kobietą w Grodzisku. Rajzla przeniosła się do Warszawy. Ita kursowała w tę i z powrotem między ich domami i naszym. Minęło kilka miesięcy i Lejzor opuścił żonę, którą w pośpiechu poślubił w Grodzisku. Rajzla także żałowała swojej decyzji i niedługo potem znowu byli razem i zamieszkali w Grodzisku.

***

Służba wojskowa Szlojmego bardzo niepokoiła mamę. Nie lubił wojska i gdy tylko zatęsknił za domem, opuszczał koszary. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał, mama prosiła, by pokazał jej przepustkę. Kiedy jej nie miał, nieudolnie próbował odwracać jej uwagę albo oszukiwać na różne sposoby. Oczywiście, kiedy wracał, zamykano go w areszcie. Czas, który spędzał w więzieniu, nie zaliczał mu się do służby wojskowej i wszystko musiał przeżywać od nowa. Spędził w koszarach mnóstwo czasu, służba ciągle mu się wydłużała. Wyglądało na to, że nigdy jej nie skończy.

Z koszar Szlojme ciągle pisał do mamy listy, prosił, żeby wysyłała mu niekoszerne jedzenie, takie jak boczek czy salami. Szlojme w ogóle jadał takie rzeczy, ale nigdy nie przynosił ich do domu. Mama nie chodziła do polskich sklepów po jedzenie dla mojego brata. Prosiła o to Polkę, która robiła dla nas pranie. Potem mama pakowała wszystko i wysyłała bratu. Robiła to po kryjomu przed bardzo spostrzegawczą Bobe.

***

Jakimś cudem Szlojmemu udawało się dostawać przepustki na wakacje i przyjeżdżał do domu. Byłam zawsze taka szczęśliwa i dumna na jego widok. Wyglądał bardzo przystojnie w mundurze.

Pewnego dnia pojawił się w naszym domu żołnierz i poprosił o rozmowę z matką. Był przyjacielem Szlojmego. Powiedział mamie, że Szlojme jest w szpitalu wojskowym, a ta natychmiast tam pojechała. Kiedy wróciła, opowiedziała nam, co się przydarzyło. Szlojme tak desperacko chciał wydostać się z wojska, że jadł skorupki jajek, żeby z powodów zdrowotnych zwolniono go ze służby wojskowej. Wylądował w szpitalu i przeszedł operację. Nie zdawał sobie sprawy, że czas spędzony w szpitalu też nie zaliczy mu się do odbywanej służby.

***

W 1938 roku byłam w piątej klasie. Miałam w szkole świetne wyniki. Pani Nowak uczyła nas geografii. Była wysoka, przy kości i zawsze nosiła czarną suknię.

Któregoś dnia woźny znalazł w koszu na śmieci bułki z masłem. Wiele dzieci w Polsce nie miało do jedzenia nawet suchego chleba, a tu ktoś wyrzucił bułki. Woźny pokazał to pani Nowak, która bardzo się zdenerwowała. W gniewie powiedziała nam:

– Wyrzucacie do śmietnika bułki. Przyjdzie taki dzień, kiedy będziecie zaglądać do śmietników i szukać kawałka chleba.

Po tych słowach ogarnął mnie nieopisany chłód. Okazały się prorocze i później wiele razy dzwoniły mi w głowie.

Tego samego roku szłam ulicą w Grodzisku i zobaczyłam członków faszystowskiej organizacji młodzieżowej, zwanej endecją, stojących na przeciwko żydowskiego sklepu i krzyczących:

– Nie kupujcie w żydowskich sklepach, nie dajcie im zarabiać! Precz z Żydami!

Poczułam, jakby nóż wrzynał mi się w serce. Wpadłam w panikę. Jacyś Polacy stali obok i nie dali się zastraszyć młodym faszystom. Krzyczeli coś do nich w odpowiedzi i specjalnie wchodzili do żydowskich sklepów. To mnie trochę uspokoiło. To nie był odosobniony incydent w naszym mieście. Powtarzały się w wielu miejscach w Polsce.

Sporo o nich dyskutowano, ale większość nie traktowała działalności endeków jako zagrożenia dla Żydów w Polsce. Faszyzm był wówczas po prostu politycznym nurtem, a antysemityzm był jego częścią. Faszyzujące partie i faszystowskie młodzieżowe organizacje działały w każdym kraju w Europie, a nawet w Ameryce Północnej. Antysemickie wybryki często się zdarzały i wkrótce stały się częścią życia, a my radziliśmy sobie przecież z nimi od wieków. Ci, którzy

uważali, że nietolerancja się rozwinęła i stała się poważnym zagrożeniem, którego nie można już ignorować, uważani byli za przewrażliwionych. Wygodnie było wierzyć, że wszystkie te antysemickie incydenty są bez znaczenia i że nie ma sensu ulegać paranoi. Lepiej skupić się na bieżącym życiu.

A potem w październiku 1938 r. polski rząd ogłosił, że paszporty piętnastu tysięcy urodzonych w Polsce Żydów, mieszkających poza krajem dłużej niż pięć lat, zostały unieważnione i że otrzymują oni status bezpaństwowców. Kiedy naziści ogłosili, że nie ma w Niemczech dla nich miejsca, tłumaczyliśmy sobie, że jesteśmy w Polsce i nic nie możemy zrobić. Nie mieliśmy pojęcia, jak wielki będzie to miało na nas wpływ, jak większość Żydów zajmowaliśmy się codziennymi sprawami. Wkrótce się przekonaliśmy.

Moją ciocię Chaję z Brandenburgii w Niemczech dotknęły te wydarzenia. Siostra ojca, niedawno owdowiała, stała się właśnie jednym z tych bezpaństwowców. Jej mąż Godel umarł w 1932, a w 1938 ciocia nie miała już złudzeń co do przyszłości swojej i swoich córek w Niemczech. Niemcy nie chciały nawet jej córek. Próbowała wyjechać, ale żaden kraj nie chciał dać wizy pobytowej wdowie z dziećmi. Udało jej się w końcu, dzięki żydowskiej organizacji młodzieżowej, wysłać najstarszą córkę Freidel do Palestyny.

Kilka tygodni później naziści wydali cioci i jej dwóm urodzonym w Niemczech córkom nakaz osobistego stawiennictwa w brandenburskim ratuszu. Sądząc, że są wzywane z powodów administracyjno-urzędowych, miały ze sobą tylko podręczne torebki. Na miejscu dowiedziały się, że majątek cioci zostaje skonfiskowany i zostaną wyrzucone z własnego domu. Naziści polecili, żeby udały się do synagogi na przesłuchanie. Stamtąd zaprowadzono je na stację, odebrano im rzeczy osobiste i zapakowano do pociągu. Zawieziono je do Zbąszynia, małego miasta na granicy polsko-niemieckiej, gdzie zostały porzucone jako bezpaństwowcy. Chaja i jej córki, Marga i Paula, znalazły się pośród tysięcy podobnych ofiar.

W Zbąszyniu zostały umieszczone w stodole, do spania dostały siano. Wkrótce przyjechały kolejne transporty z tysiącami Żydów z Hamburga i Hanoweru.

Pośród nich znalazła się ortodoksyjna rodzina Grynszpanów. Też spali w stodole, obok Chai i jej córek. Kiedy Grynszpanowie dowiedzieli się, że ich syn Herszel zastrzelił w Paryżu nazistowskiego dyplomatę Ernsta von Ratha, wpadli w rozpacz. 9 listopada 1938 r. naziści użyli zabójstwa von Ratha jako pretekstu do przeprowadzenia Nocy kryształowej.

Ojciec i cała rodzina robili wszystko, co mogli, żeby sprowadzić Chaję i jej córki z powrotem do Polski. Szybko przyszła pomoc od społeczności żydowskiej: otwarto kuchnie polowe, lekarze i pielęgniarki przyjechali z miast, uruchomiono polowe przychodnie i szpitale, zorganizowano punkt z ubraniami i kocami, zbudowano nawet specjalną kuchnię dla dzieci w domu Leopolda Cohena, starszego księgowego, który był prawdopodobnie jedynym żydowskim mieszkańcem Zbąszynia. Chaja zgłosiła się do gotowania dla najmłodszych

Żydowska organizacja apelowała do światowej społeczności o przyjmowanie dzieci. Błagano Anglię, by dała schronienie dziesięciu tysiącom żydowskich dzieci. Do grudnia 1938 brytyjsko-żydowska społeczność zdołała uzyskać pięćdziesiąt sześć pozwoleń dla chłopców i dziewcząt w wieku 13–15 lat, którzy mieli tylko jedno z rodziców. Moja trzynastoletnia kuzynka Marga była jednym z tych ewakuowanych do Anglii dzieci. Miesiąc później Paula wyjechała ze Zbąszynia do kibucu pod Krakowem, z którego miała 1 września wyruszyć do Palestyny. Kiedy w końcu zezwolono Chai na pobyt w Polsce, pojechała do Warszawy zająć się dziesiątką osieroconych dzieci swojego brata Dawida.

Dominowała opinia, że to, co dzieje się w Niemczech, nie wydarzy się w Polsce. Przecież Polska była chroniona

przez traktaty przyjaźni zawarte z Francją i Anglią. Ta racjonalna opinia była zbyt wygodna i przyjemna, by ją podważać. Mama ciągle mi powtarzała, mimo że nie była wcale zbyt religijna:

– Bardzo się modlę, żeby nie przytrafiło się moim dzieciom nic z tego, co spotkało mnie i ojca podczas wojny.

Kto w ogóle mógł przewidzieć to, co się wydarzy? Zwykłe życie płynęło dalej.

***

W marcu 1939 r. skończyłam trzynaście lat. Mama nadal zajmowała się pomocą biednym i sierotom w naszym mieście, a ja pomagałam jej, jak mogłam. Wypowiadała się zawsze bardzo mądrze. Zdrowy rozsądek był jej wielką zaletą. Ludzie słuchali jej. W czasie, kiedy nie mogłam zrozumieć wielu spraw, uczyłam się od niej. Tego lata dostałam przesyłkę z Łodzi od mojego brata Chaima. Był to nowiutki granatowy płaszcz z niebieskimi wykończeniami. Chaim zamówił go specjalnie dla mnie. Zamówił też beret z tym samym wykończeniem i skórzaną szkolną teczkę. Moje ubranie do pierwszej klasy gimnazjum było wspaniałe. Byłam zachwycona.

To było też szczęśliwe lato dla mamy. Szlojme wreszcie skończył służbę wojskową. Jego pobyt w wojsku potrwał znacznie dłużej niż obowiązkowe osiemnaście miesięcy. Nasze sady obrodziły i zabieraliśmy się za przygotowania do świąt i do zimy. Mama podjęła decyzję o przeprowadzce, ale znalezienie nowego miejsca do zamieszkania nie było takie łatwe. Z pomocą przyjaciela, mama w końcu coś znalazła. Mieszkanie położone było w pięknym miejscu, na krańcu miasta, z widokiem na pola, było świetnie doświetlone i przestronne. Ale mnie się nie podobało, było za daleko od centrum miasta i sklepów. Mama porozumiała się wreszcie z właścicielką i zaczęliśmy planować przeprowadzkę.

Któregoś lata ciocia Chaja przyjechała z Warszawy nas odwiedzić. Jeszcze nigdy jej nie widziałam, ale przez wydarzenie w Zbąszyniu dużo o niej słyszałam. Przyjechała

z moją siostrą i Felunią. Była podobna do rodziny mojego ojca. Miała ładną twarz, jakieś czterdzieści lat i mówiła po niemiecku, który dla mnie brzmiał śmiesznie. Kiedy przyjechała, ojciec był w sadzie. Zanim spotkała się z nim postanowiła odwiedzić przyjaciół, których nie widziała od kiedy wyjechała z Grodziska. Towarzyszyłam jej w tym, ale w końcu zrobiło się tak późno, że musiałyśmy wracać. Moja siostra, Felunia, Chaja, jej przyjaciółka i ja szliśmy w stronę sadów, żeby spotkać ojca. Zatrzymałyśmy po drodze rolnika i zapłaciłyśmy mu parę złotych, żeby podwiózł nas wozem. Zanim dojechałyśmy, zeskoczyłam z wozu i biegłam dalej przed siebie.

Wiedziałam, że tata lubi uciąć sobie popołudniową drzemkę. Lubił spać na świeżym powietrzu. Zdejmował buty i kładł się pod swoim ulubionym drzewem. Nie chciałam, żeby ciocia zobaczyła go w takim stanie, bez butów. Podbiegłam do drzewa i pewna, że śpi, zawołałam:

– Tato, tato! Obudź się! Masz gościa. Twoja siostra tu idzie, załóż buty.

Wstał, zamrugał oczami i powiedział do mnie z uśmiechem:

– Dlaczego mam wkładać buty? To moja siostra.

Mordechaj i Chaja dawno się nie widzieli. Objęli się, czułam, że są szczęśliwi, będąc znowu razem.

Pod koniec lata pojawiła się groźba wojny. Ogłoszono powszechną mobilizację. Szlojme i wujek Lejzor zostali powołani do wojska. Nie martwiliśmy się tym zbytnio, wierzyliśmy, że dzielna polska armia z łatwością pokona Niemców.

Lato się kończyło, a ja biegałam wokół moich piątkowych zadań związanych z szabasem. Kiedy wracałam z piekarni z tacą pięcioma bochenkami chałki, niebo nade mną zaczęło tętnić i huczeć, ryczały silniki zbliżających się maszyn.

Hałas zatrzymał mnie w drodze. Spojrzałam w górę, by przyjrzeć się samolotom i zobaczyłam dwa ogromne

bombowce przecinające niebo. Zbliżały się do Grodziska. Wszyscy wokół mnie też się zatrzymali i patrzyli w górę. Syn Kampelmachera, Edek, i jacyś inni zaczęli się kłócić:

– To nasze samoloty!

– Nie! Nie! Zobaczcie, jakie są ciężkie, to na pewno niemieckie.

Były coraz bliżej i wkrótce ryk i huk obniżających lot bombowców stał się nie do zniesienia.

Przerażona, zaczęłam biec do domu. Przebiegłam przez bramę i po schodach, ledwo położyłam na stole tacę z chlebem, gdy straszliwy wybuch wstrząsnął domem.

Moi rodzice około roku 1908. Chawa Domb Burman i Mordechaj Burman.

Moja siostra Chana w wieku 18 lat.

Mój brat Szlojme około roku 1937.

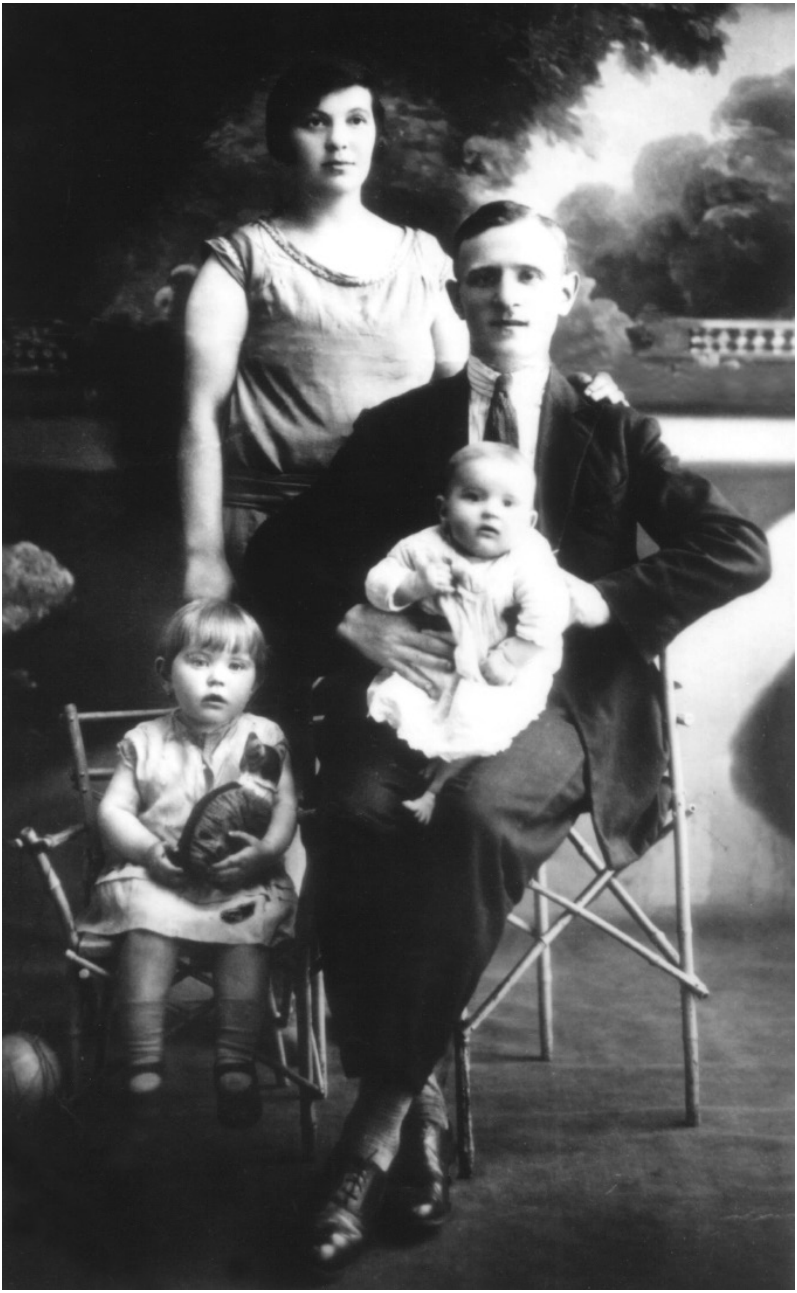

Moja ciotka Rajzla Szlak, jej mąż Lejzor „Rudy” Srebrnik,
ich córka Ita i jeden z chłopców, którzy zmarli w niemowlęctwie.

Uczniowie pierwszej klasy na pikniku w Podkowie Leśnej.
Siedzę w pierwszym rzędzie, pierwsza z lewej.